



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa, 11 stycznia 1953

Nr 2 (372)

Mieczysław KURZYNA

MARTWY „WULKAN”

„Zwracaliśmy się o pomoc i udział w pracach organizacji do ludzi poważnych, którzy w okresie okupacji pracowali w szeregach AK. w organach „delegatury rządu na kraj”... Coraz częściej — i to właśnie u ludzi najważniejszych, profesorów uniwersytetu, wybitnych działaczy politycznych — spotykaliśmy się z kategoryczną odmową...” „Nie było przychylnym do organizacji, szereg jej kurczyły się niepokojąco...” „Coraz częściej odmawiano nam lokali na cele organizacyjne... Szybko, coraz szybciej stawali się grupką obcą myślowi i uczuciom nie tylko przeciętnego Polaka, ale nawet tych środowisk, z którymi byliśmy blisko związani — dawnego AK czy dawnych zwolenników „Londynu”...”

Tak charakteryzuje warunki swej pracy konspiracyjnej ostatnie kierownictwo WIN-u J. J. Kowalski „Kos” i S. Sienko „Wiktor” w piśmie oświadczeniu ogłoszonym przez prasę w dniu 28 grudnia 1952. Treść tego oświadczenia jest dzisiaj już powszechnie znana i znane są powody ujęte w oświadczeniu, dla których „praca” konspiracyjna zamierała, nie tylko ze względu na czujność władz bezpieczeństwa, ale wobec całkowitego jej wyizolowania z odczuć i dążeń narodu polskiego.

Jest jednak w tej sprawie kilka punktów, które wymagają specjalnego podkreślenia, bo każą wyciągać specjalnie ważne wnioski, bo zwracają uwagę na rzeczy najistotniejsze.

PODSTAWOWE ELEMENTY NASZEGO INTERESU NARODOWEGO

To co potocznie nazywamy współczesną polską racją stanu streścić można do kilku punktów takich jak:

- poziomy życia gospodarczego zapewniający narodowi samodzielne dysponowanie bogactwami narodowymi i potęgowanie ich w przyszłości,
- najszerzej pojęty udział mas ludowych w gospodarce i kulturalnej twórczości narodu,
- granice mocno oparte o zachodnie tereny Rzeczypospolitej i wybrzeże morskie,
- stosunki z sąsiadami gwarantujące wyniszczonemu od dwustu lat narodowi, jak najdłuższy pokój,
- oparcie rozwoju narodu o te siły międzynarodowe, które gwarantują mu postęp, przyszłość historyczną.

Trzeba przyznać, że poprzez tragiczne doświadczenia ostatniej wojny, poprzez śmierć 6 milionów obywateli, poprzez straszne lata okupacji, świadomość tych czynników stała się powszechna. Gdyby przeprowadzić jakąś wielką ankietę w tej sprawie, odpowiedzi na wsł i w mieście, wśród inteligencji i robotników byłyby niemal jednakowe. Jedną z najważniejszych była natomiast sprawa dróg i śródek, które mogą zapewnić spełnienie tych postulatów.

„Kos” i „Wiktor”, jak tylu niestety ludzi przed nimi, przez długi czas nie dostrzegali czterech zasadniczych czynników.

Nie dostrzegali po pierwsze podstawowego faktu, że realizacja współczesnego polskiego interesu narodowego jest nierozdzielna od przeprowadzenia w Polsce zasadniczych przemian społeczno-ustrojowych, słowem od wyrwania naszego kraju od orbity działania podstawowego prawa ekonomicznego kapitalizmu. Nie rozumeli oni tego, że jedyną siłą społeczną, która ten interes narodowy może zrealizować, są masy ludowe, przez dotychczasowy ustrój pozabawione możliwości rozwoju. Nie dostrzegali więc, że realizacja tych podstawowych postulatów polskiej racji stanu jest możliwa tylko przy przejęciu władzy przez klasę robotniczą i że ona przez swą mocną, zdecydowaną postawę polityczną i olbrzymi wysiłek gospodarczy realizuje te podstawowe elementy dobra narodowego.

Nie rozumeli oni po drugie tego, że te postulaty naszego interesu narodowego mogą być wykonane tylko w oparciu o sojusz i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. To armia radziecka przyniosła wyzwolenie męczonemu przez okupanta narodowi polskiemu, to radziecka pomoc gospodarcza była i jest zasadniczym czynnikiem odbudowy i rozbudowy ekonomicznej naszego kraju, to wreszcie Związek Radziecki jest podstawową siłą w walce o zachowanie pokoju tak potrzebnego wszystkim narodom, a w szczególności Polsce.

Po trzecie — nie dostrzegali oni przez długi czas, jak głębokie zmiany przeszła ogromna większość społeczeństwa i jak są one nieodwracalne.

Po czwarte — dostrzegli bardzo późno, że są siły polityczne, których interesy są sprzeczne z naszym dobrem narodowym.

Jak trafnie to określił Bolesław Piasecki w referacie pt. „Perspektywy rozwoju Frontu Narodowego” wygłoszonym na posiedzeniu Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich w dn. 9 września 1952 (patrz „Dziś i Jutro” nr 38/356) — w Polsce wielu ludzi jest już „za”, natomiast nie umie jeszcze być „przeciw”. Nie potrafi zrozumieć kto zagraża naszemu dorobkowi i zdobyć się na zwalczanie tych wrogich sił. Otóż tu tkwi powód, dla którego tak ciężko było a nieraz jeszcze i jest wielu ludziom pójść właściwą drogą. I choć, jak mówi oświadczenie Kowalskiego i Sienki „nie wszyscy Polacy są komunistami, ale wszyscy Polacy zgadzają się z komunistami, jeśli idzie o pragnienie pokoju, o niezależnienie kraju od obcego kapitału, o wole rozbudowy siły gospodarczej Polski, o rozwój kultury narodowej, o obronę granicy na Odrze i Nysie” — to przecież jeśli mamy wyjść zwycięsko z próby politycznej, jaką jest dane przeżyć naszemu pokoleniu — musimy wyrobić sobie pełną świadomość, kto stoi na przeszkodzie spełnieniu tych narodowych postulatów.

mość, kto stoi na przeszkodzie spełnieniu tych narodowych postulatów.

KOMPLEKS ANGLOSASKI

To co było powodem bezpośrednim zerwania przez dowódców WIN z działalnością konspiracyjną wynikało z przejrzenia celów i interesów wywiadu anglosaskiego, z uświadomienia sobie faktu, że imperia lizm amerykański świadomie działa przeciwko nam.

Słotyka się niestety jeszcze w społeczeństwie naszym ludzi, którzy nie umieją tego sobie wyraźnie uświadomić. Jeszcze gdzieś tam kołata się przekonania o „wyzwolenie” roli armii Eisenhowera i Guderiana. Niech więc ci ludzie patrzają i obserwują, niech przeczytają raz jeszcze dokładnie plan „Wulkan”, omówiony w oświadczeniu Kowalskiego i Sienki, w myśl którego Polacy w imię obcych interesów mieli niszczyć Polskę. Interes polityczny rządzących kół Stanów Zjednoczonych, jako kierowniczej siły polityki obozu antyradzieckiego związany jest w Europie bezpośrednio z rozwojem potęgi antydemokratycznych i rewizjonistycznych Niemiec. Chodzi tu o to, by posiadać żołnierzy niemieckich i niemiecki przemysł zbrojeniowy w przygotowywanej wojnie. Równocześnie też rząd USA chce tą drogą stworzyć na kontynencie przeciwną gę dla Wielkiej Brytanii, jako mimo wszystko swego ekonomicznego konkurenta. Za obie funkcje — zarówno wodza „krucjaty” antyradzieckiej jak i antybrytyjskiego sojusznika na terenie europejskim trzeba Niemcom Adenauera płacić. Cena jest jedna — polskie ziemie zachodnie i to nie tylko nadodrzańskie, ale także te nad Wartą, dolną Wisłą i Bzurą.

W zakresie spraw gospodarczych świat kapitalistyczny ofiarować może Polsce rolę rolniczą kraiku w granicach mniej więcej dawnego gubernatorstwa, kraiku, który nadmiar ludności wysłał do Afryki i Ameryki Południowej. Przemysł polski nie jest im potrzebny, bo przecież Ameryka wytwarza tak dużo. Czym będzie Polska za to płacić, to obojętne, może siłą roboczą, a może nawet sprzedają dzieci, jak w przedrewolucyjnych Chinach.

I wreszcie w zakresie spraw społecznych ofiarować nam może wolność dla bogatych, a bezrobocie i głodowe płace dla biednych.

Cynizm propagandy amerykańskiej polega też na tym, że usiłuje ona wmówić, iż Stany Zjednoczone są depozytariuszem chrześcijańskiej kultury zachodnio-europejskiej. Lek tura jednak comicsów i bestsellerów wykazuje całkowity fałsz takiego postawienia sprawy. To właśnie u nas urządziła się festiwal szekspirowski, a tam Hamleta wydaje się jako sen sacyjną historyjkę obrazkową, to u nas obchodzi się rocznicę Leonarda da Vinci, a tam używa się portretu Giocondy, jako reklamy pończoch. Jeśli kto jest spadkobiercą wielkiej tradycji kultury zachodnio-europejskiej, to właśnie nasz świat, ze wzniosłymi Homerem, Balzakiem, Pascalą i św. Augustyną, a nie oni z kultem Boogi-Woogi i coca-cola.

skiej, to właśnie nasz świat, ze wzniosłymi Homerem, Balzakiem, Pascalą i św. Augustyną, a nie oni z kultem Boogi-Woogi i coca-cola.

Potworność ludzenia się przyjaźnią amerykańską polega także i na tym, że za rolę generalnego gubernatora torstwa, za comicsy płacić mamy funkcją poligonu dla bomb atomowych, tak jak od trzech lat płaci Kowalski. Mamy, jak przewidywał plan „Wulkan”, własnymi rękami niszczyć własny dorobek.

To właśnie zrozumiało ostatnie kierownictwo WIN-u i dlatego zaprzestano działalności.

PRZECIW NARODOWI I OBOK HISTORII

Oświadczanie tutaj oświadczenia Kowalskiego i Sienki jest nie tylko przypomnieniem postulatów naszego współczesnego interesu narodowego. Rzuca ono również światło na dwie podstawowe sprawy, które gdzieś tam pokutują jeszcze także jako kompleks. Myślę o kwestii konspiracji i emigracji.

Przytoczona na wstępie charakterystyka stosunku społeczeństwa do pracy ostatniego kierownictwa WIN-u bez reszty wyjaśnia pierwszą z nich. Istnieje jedna Polska — Polska Ludowa i ona realizuje współczesną polską rację stanu. Wszelka działalność poza prawem jest w stosunku do interesu narodowego zbrodnią. Kierownicy WIN-u zrozumieli to i wyciągnęli z tego konsekwencje — ujawnili organizację.

Należy w tym miejscu uświadomić sobie ważny fakt wynikający z oświadczenia Kowalskiego i Sienki. Wszelkie grupy konspiracyjne działające przeciw Polsce Ludowej starały się oprzeć swą działalność na jakichś zasadach ideologicznych, usiłując przy tym niezmiennie przedłużyć ideologiczne uzasadnienie konspiracji z okresu okupacji na obecną działalność podziemną. Oświadczenie ostatnich dowódców WIN-u wykazuje, jak wobec wyizolowania z dążeń i świadomości społeczeństwa, wobec sprzeczności z podstawowym interesem narodowym — dla samych uczestników działalności konspiracyjnej te uzasadnienia ideologiczne z każdym dniem stawały się coraz bardziej kruche i fałszywe. Coraz bardziej natomiast rosła świadomość, że działalność ta staje w poprzek rozwojowi narodu, jego prawdziwemu dobru. Coraz bardziej jasne stawało się dla nich, że jedyną „ideologiczną” racją tej działalności są interesy wywiadu amerykańskiego. Waga oświadczenia Kowalskiego i Sienki w olbrzymiej mierze na tym właśnie polega, że wykazuje ono ten proces, obnaża całkowite fiasko „ideologicznego” charakteru roboty dywersyjnej przeciw Polsce Ludowej. Oświadczenie to wykazuje, że zupełnie zaślepione lub całkowicie wykołajone jednostki, które dziś jeszcze dają się wciągać do tej roboty, nie mają nic wspólnego z poczuciem patriotyzmu ale są po prostu czynnym narzędziem wrogich, zagrażającym interesom Polski sił.

W NUMERZE m. in.:

- D. HORODYŃSKI — Notatnik wiedeński (2)
- T. MYŚLIK — O uczestniczenie osobowości w planowaniu
- W. PIENKOWSKA — Smyczkiem urzeczeni
- S. LICHANŃSKI — Nad wierszami Anny Pogonowskiej
- E. MISIOLEK — O sztuce scenicznej Mossowietu.

Ale pamiętać należy, że nie wolno lekceważyć niebezpieczeństwa. Wywiady anglosaskie nie zaprzestają swej wroglej roboty. W szczególności starają się one w tym celu sięgać po ludzi najmniej uświadomionych. Dla swych cynicznych celów umieją niekiedy wykorzystać naiwność wykołajonych niedorożków i ich rękami prowadzić dywersję. Dlatego specjalnie podkreślić trzeba obowiązek ciążący na starszym pokoleniu. Winno ono nie tylko zdecydowanie przeciwdziałać tym usiłowaniom, gdzie by tylko wystąpiły, ale równocześnie musi ono dołożyć wszystkich sił, by dawać młodzieży tak mocny pion ideowy i moralny, tak jasną bez niedomówień drogę realizacji jej uczuć patriotycznych, by nikt nie ważył się po nią sięgać.

Inną rachubą wrogów Polski Ludowej jest liczenie na wykorzystanie dla swych celów istniejących różnic światopoglądowych. Radiostacje chociażnie usiłują na tej podstawie stać się jądrem Polaków między sobą. Rachuby te nie mają prawa liczyć na jakiegokolwiek powodzenie. Wszyscy Polacy, posiadający prawdziwe poczucie patriotyzmu rozumieją podstawowe czynniki naszego współczesnego interesu narodowego. Nie wolno nam więc pozwalać, by wrogi Polsce siły przekształcały istniejące różnice światopoglądowe w konflikt interesów politycznych. Potrafimy je tak rozwiązywać, że nie przeszkodzą one ani budowie wielkości Polski, ani odparciu wroglej roboty czy też wręcz agresji kiedykolwiek by ona nie przyszła. Katolicy polscy mają dla swej postawy wobec tych usiłowań niedwuznaczny i wyraźny charakter w Porozumieniu zawartym między Episkopatem Polski a Rządem PRL, gdzie Episkopat spełnił bez reszty i postanowił zwalczać zbrodniczą „działalność band podziemia”. Na temat wrogoci tych wszystkich usiłowań i postawy jaka winna cechować w tym punkcie katolików polskich wypowiedziały się wielokrotnie najwybitniejsze autorytety społeczności katolickiej naszego kraju, że choćby przypomniemy tu akcję prasową prowadzoną na ten temat w ubiegłym roku w „Słowie Powszechnym” po artykule Zygmunta Przetakiewicza pt. „Wróg pozostał ten sam”. Ci zaś katolicy w Polsce, którzy mimo wszystko lubią nadstawiać ucha na głos propagandy zachodniej niech przemyslą dokładnie zawarte w ostatnim oświadczeniu Episkopatu Polski z dnia 12 grudnia 1952 r. następujące zdanie: — „Episkopat zastrzega się również przeciwko tendencjom obecnej propagandy, usiłującej uczynić Kościół w Polsce terenem i narzędziem politycznej działalności antypaństwowej”...

Oświadczenie „Kosa” i „Wiktora” ujawniło i drugi problem, który nie zawsze jest jeszcze w pełni rozumiany — rolę emigracji. Oświadczenie nie pozostawia złudzeń, jeśli chodzi o charakterystykę emigracji. Ale jedną rzecz trzeba podkreślić specjalnie. Emigracja londyńska czy nowo-

(Dokończenie na str. 4)

Stefan ŻUROWSKI

Po konferencji Commonwealthu

NA przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku miała miejsce w Londynie konferencja szefów krajów wchodzących w skład Commonwealthu. Poza dwoma wyjątkami — Indii i Południowej Afryki — zjechał się nad Tamizę premierzy Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Pakistanu i Ceylonu. Neo-bebnych premierów Nehru i Malana zastępowały ministrowie finansów Indii i Południowej Afryki. Konferencja londyńska zebrała się w dwadzieścia lat od zakończenia obrad przez Konferencję w Otago w 1932 roku, która zespoliła gospodarczo całość Commonwealthu, ustalając system specjalnych ulgów wycy wycy celnych na surowce i wyroby przemysłowe, wymieniane pomiędzy poszczególnymi krajami wchodzącymi w skład Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. System ten przetrwał — z pewnymi zmianami — całe dwudziestolecie stanowiąc praktycznie najsilniejszą więź gospodarczą krajów Commonwealthu.

Jest jednak jeszcze inny czynnik łączący te kraje w jedną całość. Mam na myśli pieniądź. Choć każde państwo posiada formalnie odrębną walutę, to jednak — z wyjątkiem Kanady — wszystkie te waluty stanowią jeden system dewizowy tzw. „sterling area” czyli strefę szterlingową. Rozmiary i znaczenie gospodarcze tej strefy najdobitniej ilustruje fakt, iż całość jej obrotów płatniczych w 1951 roku wynosiła dokładnie 1/3 całości handlu światowego. W cyfrze bezwzględnej oznacza to sumę 32 miliardów dolarów amerykańskich. Bankierem owego gigantycznego gmachu, którego centrum dewizowe skupia się w Bank of England w Londynie, jest City. Jak wykazało doświadczenie lat ostatnich, zarówno jeśli chodzi o stronę dewizową całego zagadnienia jak i o stronę kapitałową przekracza to siły londyńskiego rynku pieniężnego. Wyczerpanie brytyjskich rezerw kruszcowych i dewizowych, przejście z roli wierzyciela do roli dłużnika na skutek finansowania w ciągu ćwierć wieku dwóch wojen światowych, sprawiło, iż Bank of England nie może stawić do dyspozycji odpowiednich rezerw dla pokrycia okresowych deficytów bilansu płatniczego zarówno w Brytanii jak i innych krajów Wspólnoty. Jeśli zaś chodzi o stronę kapitałową zagadnienia, to młode dominia, będące krajami zacofanymi gospodarczo i wymagające wielkich wkładów w formie długoterminowych lokat dla sfinansowania programów inwestycyjnych, coraz bardziej przekonują się, iż londyński rynek kapitałowy jest wyschnięty a City niezdolna do odegrania takiej roli jaką wypełniała w ciągu XIX-go wieku, kiedy to swobodnie finansowała inwestycje kolejowe w Kanadzie, Brazylii, Argentynie, ba, nawet w Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj należy to do niepowrotnej przeszłości. Odczuła to zwłaszcza Australia, Indie i Pakistan.

Najwcześniej sytuację tę zrozumiała Kanada i wyciągnęła z niej konsekwencje nie wchodząc w skład „sterling area”. Jej dolar dewizowo stanowi walutę całkowicie odrębną, zaś program inwestycji kanadyjskich już od długiego szeregu lat jest finansowany w większej części przez kapitały płynące z Wall Street. Przykład Kanady stał się zaraźliwy — przede wszystkim dla Południowej Afryki będącej, jak wiadomo, co do wielkości drugim po Związku Radzieckim, światowym producentem złota. Indie zaś i Pakistan świeżo dopiero podniesione do statutu dominialnego i bodaj najbardziej zacofane pod względem gospodarczym także korzystają z ka-

pitatów amerykańskich dla finansowania swoich inwestycji. Wszyscy pozabrytyjscy członkowie „sterling area” coraz silniej odczuwają brak swobodnej wymiennalności funta na inne waluty. Wymiennalności tego typu jaką posiada dolar USA, frank szwajcarski czy belgijski albo eskudo portugalskie. Bez pełnej i nieskrępowanej wymiennalności funt nie przedstawia prawie żadnej wartości na rynku światowym. Zwłaszcza dla poważnych operacji jak zakup potrzebnych surowców lub maszyn czy innych urządzeń technicznych.

Kierownictwo finansowe w Brytanii boryka się z tymi trudnościami płatniczymi od szeregu lat. W jesieni 1949 ówczesny labourystowski kanclerz skarbu Stafford Cripps uciekł się do ostatecznego środka — do dewaluacji funta. Nie na długo jednak ta — prawdziwie końska — kuracja poskutkowała. Rok temu byliśmy świadkami w jej choroby funta grożącej kompletną katastrofą i ogłoszeniem „niewypłacalności dewizowej” przez londyńskiego bankiera Commonwealthu. Z największym trudem, drogą drakońskich cięć i ograniczeń importowych udało się obecnemu kanclerzowi skarbu Richardowi Butlerowi załatać jakoś deficyt bilansu płatniczego. Był to jednak zabieg półowiczny. By znaleźć trwalsze lekarstwo zwołano listopadową konferencję premierów Commonwealthu do Londynu.

Po dwóch tygodniach obrad uczestnicy konferencji rozjechali się z powrotem do swoich krajów. W Londynie zaś ogłoszono komunikat, który artykuł wstępny „Timesa” z następnego dnia nazwał szeregiem „pobożnych życzeń” ogólnie znanych i raz jeszcze sformułowanych. Jak jednak wynika z oświadczenia złożonego przez Churchilla w tej sprawie w Izbie Gmin, dnia

17 grudnia 1952 r., konferencja premierów była tylko jedną z projektowanych konferencji. Następna będzie miała miejsce również w Londynie w czerwcu 1953 roku kiedy to wszyscy premierzy krajów Commonwealthu przybędą nad Tamizę na uroczystości związane z koronacją królowej Elżbiety. W międzyczasie zaś specjalna misja, na czele której stanie Winston Churchill uda się ma do Waszyngtonu by tam przeprowadzić w imieniu całego Commonwealthu rokowania z nowym Prezydentem Stanów Zjednoczonych Eisenhowerem i jego ministrami.

Według pogłosek krążących w londyńskich sferach politycznych i podawanych przez tamtejszą prasę oraz radio tematem tych rokowań mają być dwie grupy zagadnień. Pierwsza z nich dotyczy sprawy polityki handlowej Stanów Zjednoczonych w najbliższych latach, ściślej mówiąc sprawy amerykańskiej taryfy celnej, druga zaś poważnej operacji kredytowej, o charakterze długoterminowej pożyczki, jaka miałaby być udzielona Commonwealthowi jako całości i której zwrot byłby gwarantowany przez wszystkie kraje Commonwealthu.

Jakie są szanse powodzenia tej inicjatywy brytyjskiej, za którą kryje się osobiste autorstwo premiera brytyjskiego? Wydaje się, że szanse te są raczej niewielkie, jeżeli nie żadne. Gdy bowiem chodzi o sprawę amerykańskich ceł na import do Stanów Zjednoczonych, to jest rzeczą powszechnie znaną, iż właśnie partia republikańska — pod której sztandarem gen. Eisenhower wszedł 20 stycznia do Białego Domu — jest tradycyjnie zwolenniczką polityki jaknajbardziej protekcyjnej sztywnych ceł na import do USA, i że posiada ona pod tym względem konkretne zobowiązania wobec poszczególnych branż przemysłu amerykańskiego z okresu kam-

panii wyborczej. Nie wydaje się więc, by delegaci brytyjscy z Churchillem na czele mogli coś poważniejszego w tej dziedzinie uzyskać. Jeśli uda im się wynegocjować zapewnienie utrzymania obecnie istniejącego status quo, to i to uznać będzie trzeba za poważny sukces. Wiadomo jednak, że status quo nie zadawała potrzeb eksportowych krajów należących do „sterling area” i, że nie zapewni równowagi w bilansie płatniczym.

Jeżeli chodzi o długoterminową pożyczkę dla krajów Commonwealthu to nie wydaje się możliwe aby nowy prezydent już w wstępie swych rządów chciał angażować się w taką operację kredytową. Jeśli pożyczka taka małaby odnieść jakiś istotny skutek to musiałaby wnieść co najmniej kilka miliardów dolarów. Potrzeby bowiem inwestycyjne poszczególnych członków Wspólnoty zliczone razem na pewno wymagałyby takich sum. Jedynie wówczas można by poważnie myśleć o przywróceniu funtowi pełnej wymiennalności, bez niebezpieczeństwa narażenia go na katastrofę taką jak ta, którą przeszedł jesienią 1949 roku. Nie wydaje się by sfery finansowe Wall Street — ustosunkowały się przychylnie do tej koncepcji. Przeciwnie cały jej ciężar poniosłyby Stany Zjednoczone, zaś płynący stąd zysk pochłonąłby przemysł brytyjski, — który mając w City dzięki tej pożyczce odpowiadające zaplecze finansowe — mógłby stanąć do walki z przemysłem Stanów Zjednoczonych. Nikt nie posiada finansistów amerykańskich o filantropię, a pójście na tego rodzaju kombinację oznaczałoby w gruncie rzeczy filantropię finansową wielkiego stopnia.

Jeśli zaś chodzi o operację kredytową finansowaną przez skarb Stanów Zjednoczonych, to należy pamiętać, iż państwowy kredyt USA obciąża olbrzymi koszt — ogółem

63 miliardów dolarów — związany z realizacją programu zbrojeniowego i że podatnik amerykański nie ma najmniejszej ochoty na takie daniny.

Wiekowy premier brytyjski, który wciąż nie daje za wygraną i którego wciąż rozpira żądza i ambicja władzy, będzie starał się zarzucić wędkę na nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych i uzyskać u niego posłuch dla swoich planów politycznych. Nie udało mu się to w styczniu 1952 roku z Trumanem. Churchill po powrocie do Londynu nie szczędził zgryźliwych i gorzkich uwag pod adresem b. prezydenta Stanów. Obecnie być może, liczy na swoją przyjaźń osobistą z gen. Eisenhowerem z okresu drugiej wojny światowej. Ale najbliższy doradca polityczny nowego prezydenta, Sekretarz Stanu John Foster Dulles, znany jest ze swego antybrytyjskiego nastawienia. Sposób w jaki „rozegrał” on sprawę na Dalekim Wschodzie, przy tworzeniu „Paktu Pacyfiku” w którym wyeliminował Anglików, sprowadzając do Australii i N. Zelandii poza oczywiste Stanami Zjednoczonymi, nie wskazuje na jego pozytywne nastawienie jeśli chodzi o powierzenie Churchillowi głównej roli w prowadzeniu rozgrywki międzynarodowej ze strony całego bloku anglosaskiego. Wydaje się, że — mimo argumentu posiadania własnej bomby atomowej — plany polityczne Winstona Churchilla i tym razem pozostaną w sferze „pobożnych życzeń”.

W każdym razie jeśli chodzi o sprawę gospodarczą Commonwealthu to jak z tego krótkiego przeglądu widzimy, pierwsza sesja konferencji premierów odbyta w Londynie na przełomie listopada i grudnia 1952 roku nie dała pozytywnych wyników.

Stefan Żurowski

PRZEGLĄD PRASY

Tradycja i postęp

PROBLEM stosunku do narodowej tradycji w sztuce jest dziś szczególnie częstym przedmiotem dyskusji i rozważań. Zjawisko zrozumiałe i cenne.

Nie jest bynajmniej rzeczą przypadkową, że właśnie w okresie rewolucji a więc w okresie burzenia starego porządku i powstawania nowego zainteresowania wszystkich ludzi twórców uczestniczących w życiu skierują się także ku przeszłości i rewidują swój pogląd na pozostały po niej depozyt. Rewizja ta jednak nie ma i nie może mieć nic z negacji czy lekceważenia wartości, jakie tkwią w dorobku minionych epok.

Wręcz przeciwnie potężny krok jaki postawiliśmy naprzód daje perspektywę niezbędną do spojrzenia na przebyta przez poprzednie pokolenia drogę. Chyba już dziś rozwiało się definitywnie naiwne przekonanie lekliwego mieszczaucha, według którego z pojęciem rewolucji wiąże się nierozdzielnie „deptanie przeszłości ołtarzy”. Wbrew tym naiwnym supozycjom nigdy tyle nie poświęcało się miejsca i uwagi narodowej tradycji, co właśnie w obecnym czasie rewolucyjnych przemian.

Tradycja jednak zmieniała nie tyle swą treść ile funkcję jaką spełnia. Dotychczas niejednokrotnie w praktyce oznaczała ona hamulec w posuwaniu się naprzód lub stanowiła pokusę zawrócenia wstecz. Dziś tradycja jest siłą, jest tym rozpięciem, którego potrzeba do pokonywania przeszkód.

Ażeby się przekonać, że istotnie

taka jest w naszym życiu funkcja tradycji narodowej wystarczy uprzytomnić sobie milionowe nakłady klasyków polskiej literatury, czy frekwencję w muzeach. Trzeba jednak również nie zapominać o trudzie poznawczym jaki skupia się wokół naukowych badań nad kulturą polską.

Artykuł Kazimierza Wyki p. t. „Tradycje postępowe literatury polskiej” (Życie literackie nr 1/51) daje pociągający przegląd problematyki jaka stoi przed polską nauką literaturoznawstwa w dziedzinie przewartościowania dorobku minionych wieków. Na wstępie autor porusza teoretyczny aspekt tego zagadnienia. Zwraca on uwagę na trudności, przed którymi stoi badacz literatury poszukujący kryteriów postępowości dzieła literackiego. Tak, jak samo to dzieło tak i kryteria jego oceny muszą być złożone. Oczywiście, jak mówi Wyka „ostateczna, decydująca ocena postępowości jest więc zawsze oceną ideologiczną i światopoglądową”. Nie podzielać materialistycznego stanowiska autora trzeba zgodzić się całkowicie z tą zasadą prymatu ideologicznych kryteriów oceny. Rzecz jasna jednak, że ocena ideologiczna nie może prowadzić do przenoszenia w odległe epoki współczesnych kryteriów, przeciwnie musi uwzględniać ówczesną funkcję społeczną ideologii zawartej w danym dziele historycznym. Takie zastrzeżenie chroni przed jakimś schematycznym i wulgarnym potępieniem wszystkich tych wartości kultury, które w okresie powstawania

były postępowymi i nadal nimi zostały dzięki swemu dynamizmowi społecznemu, chociaż dziś nie mają bezpośredniego odniesienia do obecnych stosunków społecznych.

Dalej Wyka zwracając uwagę na konieczność zespolonego wysiłku w dziedzinie krytycznego przeanalizowania dzieł naszej literatury daje przykłady dotychczasowych opracowań roboczych (jak je nazywa Wyka: „próbnym syntez”), które kładą podwalny pod bardziej dojrzałe i gruntowne prace wartościujące nasze poglądy o literaturze minionych wieków.

Być może tym dotychczasowym opracowaniom można by jeszcze wiele zarzucić ale jest niewątpliwe, że dają one pewną postawę wyjściową, z której można łatwiej i trafniej zabierać się do oceny i studiów nad przeszłością.

Poruszamy tę sprawę w tym miejscu bynajmniej nie poto, by podejmoć dyskusję w sprawach dotyczących metodologii nauki o literaturze. Sprawa postępowych tradycji w literaturze nie jest jednak wcale sprawą interesującą tylko grupę specjalistów. Każdy z bardziej czy mniej odczytanych w literaturze ojczystej ludzi wyrabia sobie indywidualny stosunek do dzieł naszych klasyków. Każdy w sposób bardziej czy mniej trafny i kompetentny z jednej strony poddaje się sugestii dzieł sztuki, które powstały w epokach odległych od naszej. Wraz z ilościowym wzrostem czytelnictwa wzrastać musi jego ja-

kość. Wzrastać musi świadomość tego za co i dlaczego cenimy literackie zabytki przeszłości.

Analizując polską literaturę XVI czy XVII wieku łatwo przekonać się, że napróżno szukalibyśmy w niej gotowych rozwiązań, które można by żywcem przenieść w naszą epokę. Można natomiast odnaleźć tam wiec nie żywe i pobudzające sily pchające człowieka do szukania nowych rozwiązań i do poświęcenia swych wysiłków i zdolności sprawie postępu społecznego.

Te sily w różnych epokach różne przybierały oblicza. Nawet Rejowi wielbienie uroków życia ziemiankiego nie przeszkadzało w swoim stuleciu być postępowym. Tkwiła w nim bowiem ta właśnie siła, która pcha człowieka w przyszłość, każe mu przekraczać samego siebie — rozwijać się i zaszczeniać rozwój i postęp wokół siebie. To stanowi istotną moc napędową sztuki, stanowi to także prawdziwe kryterium wartości przekazanych nam przez przeszłość.

Siła postępu stanowiąca istotną treść każdego dzieła sztuki zdolnego do przetrwania epoki, w której się narodziło, równocześnie przesądza o społecznej funkcji sztuki. Dlatego to klasyki nie przestają przez długie szeregi wieków dynamizować myśli i działania ludzi, dlatego nieustannie zaszczeniają wiarę w przyszłość, bez której życie ludzkie staje się trudną do zniesienia vegetacją bezpłodną i zatrważającą otoczenie.

(aka)

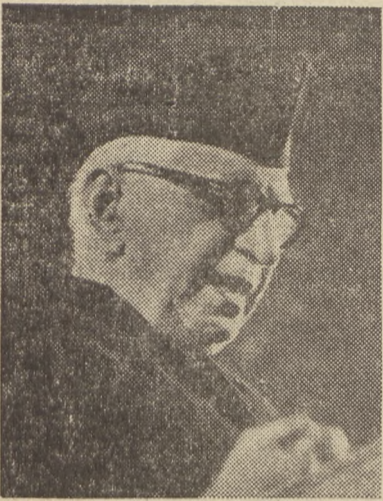
Dominik HORODYŃSKI

NOTATNIK WIEDENSKI⁽²⁾

12 grudnia 1952

RANO wynajęty autokarem delegacja nasza zwiedza miasto. Oprawdza nas dama starej daty zakochana w cesarskim Wiedniu, postać niezmiernie typowa i pocieszna. Jej wywody tłumaczy na język polski inż. Skibniewski, dodając od siebie komentarz okolicznościowo polityczny, czym bawi nas przez całą drogę.

Wiedeń, choć nie jest najpiękniejszy, ma ten szczególny urok miast o długiej historii, która ka-



Saijuddin Kitchlew — delegat Indii.

zała im nagromadzić i pomieszać z sobą style różnych epok. Zniszczenia wojenne, dość poważne, nie dotknęły szczęśliwie jego najcenniejszych zabytków, ale niemrawa odbudowa sprawia, że ruiny ciągle jeszcze szpecą miasto. Nasza przewodniczka, raczej bezskutecznie, przy każdej grupie gruzu każe nam podziwiać ogrom zniszczeń. Każdy z nas widział, niestety, nieco więcej. Uderza nas co innego. To, co cechuje skutki bombardowań amerykańskich we wszystkich miastach niemieckich. Najbardziej dotknięte są dzielnice mieszkaniowe. Te w których nie było żadnych obiektów wojskowych i przemysłowych. Natomiast fabryki stoją. Bombardowania amerykańskie od początku miały charakter terrorystyczny. Zwiększały cierpienia ludności, oszczędzały te obiekty, które pracowały dla wojny. W jakim stopniu np. mogło skrócić wojnę zbombardowanie wesołego miasteczka u wrót Prateru, lub obrzucenie bombami gęsto obudowanej katedry św. Stefana, która mocno ucierpiała, straciła wszystkie witraże i przy padkiem tylko ocalała?

Urodzić Wiednia mniej jednak zaszkodziły wysiłki amerykańskich lotników, od wcześniejszej działalności architektów, tych od pałaców epoki Franciszka Józefa — okresu złego smaku — i tych od zabudo-

będzie naprawić początkowy błąd rozwoju miasta, które odwróciło się od rzeki i piękny, szeroki Dunaj płynię przez jego peryferie całkowicie niewykorzystany urbanistycznie.

O 5-ej otwarciu Kongresu. Idziemy zwartą grupą polską do Konzerthausu, przed wejściem jednak do ogromnego gmachu, gdzie za chwilę rozpoczną się obrady, zatrzymujemy się wszyscy. Zatrzymujemy się, bo oto mamy przed sobą coś z takiego Wiednia, jaki wyobraża sobie każdy słuchając walców Straussa. Tuż przy gmachu obrad jest ogromne lodowisko, z megafonu płyną dźwięki wiedeńskiego walca, i setki par tańczą i ścigają się po lodzie. Jest zmrok, palą się już kule świateł elektrycznych i nadzwyczaj wdzięcznie migają w oczach zgrabne, jaskrawo ubrane dziewczęta i roześmiani chłopcy. Trudno nam oderwać się od tego widoku; tak by się chciało, by właśnie tak beztrudno i tak ładnie mógł wypoczywać naprawdę cały Wiedeń i mieszkańcy wszystkich miast świata. Po to przecież zjechaliśmy się tu na Kongres! — Potężny głos Jarosława Iwaszkiewicza przywołuje nas do porządku, włączamy się w tłum delegatów, tłum różnobarwny i gwarny, cisnący się przy wejściu.

Delegacja polska otrzymuje w sali miejsce na parterze, po lewej stronie, tuż przy podium prezydiarium. Wśród ogólnego rozgardiaszu, powitań, głośniejszych pozdrowień i okrzyków przyjaźni docieramy do naszych miejsc i rozglądamy się wokoło. Olbrzymia, największa koncertowa sala w mieście, gdzie Wiedeń okłaskiwał pokolenia głośniejszych na świat cały kompozytorów, wirtuozów i dyrygentów, wygląda dziś świeżo i radośnie, szczerze udekorowana setkami metrów błękitnej draperii. Przed prezydium rząd wspaniałych kwiatów, przysyłanych na Kongres z Francji, ze składek robotniczych. Światła reflektorów przesuwają się po rozpromienionych twarzach ludzi, którzy przybyli tu ze wszystkich kontynentów.

Jean Laffitte wchodzi na trybunę, by przedstawić Kongresowi do aprobaty skład prezydium złożony na podstawie propozycji delegacji wszystkich krajów. Salą hucznymi okłaskami manifestuje swą radość. Członkowie nowoobranego prezydium, które od tej chwili kierować będzie pracą Kongresu, udają się na krótką naradę, by wybrać przewodniczącego pierwszego posiedzenia.

Światowa Rada Pokoju była imię jatką zwołania Kongresu Narodów. Sam jednak Kongres reprezentuje szersze środowiska społeczne

Uczelnicy Kongresu dzielą się na delegatów — krajowych ruchów pokoju lub innych organizacji społecznych — na zaproszonych gości i wreszcie na obserwatorów, przysyłanych przez różne środowiska. Do prezydium weszli delegaci, goście i obserwatorzy, którzy wspólnie ustalają treść i tok prac Kongresu. Tak więc Kongres Wiedeński nie ograniczał się do ludzi zorganizowanych w ruchu obrońców pokoju, lecz obejmował szeroki wachlarz ludzi, stając się przeto prawdziwym Kongresem Narodów.

Po krótkiej przerwie Laffitte ponownie zjawia się na trybunie, by oświadczyć: *prezydium wybrało profesora Joliot-Curie przewodniczącym pierwszego posiedzenia*. Autorytet Światowej Rady Pokoju i jej przewodniczącego jest tak duży, że nikt nie oczekiwał innego wyboru i sala drży od okłasków, gdy prof. Joliot-Curie czystym głosem mówi: „Ogłaszam Kongres Narodów w Obronie Pokoju za otwarty”.

Pierwszym mówcą jest pastor Kock, który w serdecznych słowach wita zgromadzenie w imieniu austriackich obrońców pokoju. Po nim na trybunie staje prof. Joliot-Curie. Jest to wspaniały moment, gdy ten wielki człowiek, wyprostowany, ze łzami wzruszenia w oczach wpatruje się w salę, a delegaci stojąc pozdrawiają go długą, entuzjastyczną owacją. Na jego cześć wiwatują ludzie całego świata. Wiwatujemy i my, zdając sobie

wiódł nas tutaj. Wiemy, że pokój można realnie osiągnąć. I gdy patrząc na tę salę, myślę, że już osiągnęliśmy wiele. Oto widzę obok siebie przedstawicieli ludu Wielkiej Brytanii obok ludów Malajów i Kenii. Czyż nie

dzić narody pozbawione obrony, oszukiwane kłamstwami i prowokacjami” — mówi Terranova.

Po nim, jako ostatni dziś mówca, zjawia się na trybunie człowiek, którego nazwisko wywołuje ogólne



Przedstawicielka Egiptu Zenab el Gazali.

musimy być dumni, że delegacja francuska, sama stawia tu sprawę wolności Tunisu, Maroka i Afryki Francuskiej? A jeśli idzie o nas, południowców, to zapominamy o mroczach Wiednia rozgrzani pewnością w zwycięstwo sprawy Kongresu, gdy widzimy siedzące obok siebie delegacje Stanów Zjednoczonych i Korei!” Znow burza okłasków wstrząsa salą.

Z kolej zabiera głos Terranova, poseł włoskiej chrześcijańskiej de-

poruszenie na sali. Nic dziwnego, bo do obrońców pokoju ma przemawiać niedawny, a głośny prorok rozpaczy, autor antykomunistycznej sztuki i antykomunistycznych wypowiedzi, wieloletnie bożyszcze burżuazji zachodniej, twórca jej dekadentkiej filozofii i niedawny przywódca duchowy dekadentkich środowisk młodzieży Paryża, znakomity pisarz i dramaturg — Jean Paul Sartre.

Niewielkiego wzrostu, w okularach, nerwowy, Sartre jest znakomitym, sugestywnym mówcą. Przeczytałem przed chwilą jego mowę i ani w części nie odniosłem tego wrażenia, jakie wraz z wszystkimi słuchaczami przeżyłem na sali.

Przemawiać do dwóch tysięcy ludzi, reprezentujących cały świat, w obecności setek dziennikarzy, z których większość ma tu rolę dywersyjną i tylko czeka by móc przetrząsnąć takie czy inne sformułowanie w celu skompromitowania Kongresu, jest rzeczą trudną i odpowiedzialną. Wszyscy mówcy z reguły piszą swe przemówienia przynajmniej dzień przed wygłoszeniem, sami czuwają nad tłumaczeniami itd. Sartre — jak dowiedziałem się od Francuzów — napisał swoje przemówienie w ciągu godziny, w czasie obiadu, ołówkiem, na kilku świstkach papieru. Utrudnił tym pracę tłumaczom, ale sprawił też gorzki zawód wrogim dziennikarzom.

Nie rozpacz i niewiara w sens życia ludzkiego przywiodła Sartra do ludzi, którzy przyjechali do Wiednia, by właśnie walczyć o życie, o jego sens, godność, i radość. Ab-



Jean Paul Sartre podczas wygłaszania przemówienia.

sprawę, że mało kto ze współczesnych zdobył tak powszechny szacunek i miłość ludzką.

Nie tu miejsce na streszczenie referatu prof. Joliot-Curie, który określił stanowisko Światowej Rady w stosunku do podstawowych zagadnień międzynarodowych i metod prowadzenia walki o zwycięstwo pokoju. Przemówienie to równocześnie postawiło przed Kongresem trzy następujące wielkie problemy do przedyskutowania: sprawę niezawisłości narodowej i bezpieczeństwa, sprawę położenia kresu toczącym się wojnom i sprawę odprężenia międzynarodowego.

Po prof. Joliot-Curie staje na trybunie dr Kitchlew, przewodniczący delegacji hinduskiej, w skład której wchodzi przedstawiciele wszystkich partii politycznych tego 300 milionowego narodu. Nawiązując do wypowiedzi prof. Joliot na temat konieczności zespolenia wszystkich sił walczących o pokój, dr Kitchlew oświadczył, że ze swej strony delegacja hinduska uczyni wszystko by na Kongresie panowała atmosfera zaufania i wzajemnego zrozumienia, która jedynie może być podstawą wspólnego działania. Przedstawiciel Indii mówi o solidarności z walką ludu koreańskiego i o powszechnym oburzeniu Hindusów na metody stosowane przez najeźdźców amerykańskich. Dr Kitchlew człowiek o dostojnym, pełnym powagi i skupienia wyglądzie kończy swe wystąpienie w bardzo wzruszających słowach: *Nie jesteśmy marzycielami, choć sen o pokoju przy-*

mokracji, którego przed miesiącem widziałem w Berlinie na konferencji w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. Mów on w imieniu włoskiego porozumienia parlamentarnego w sprawie obrony pokoju, które stworzone zostało przed rokiem przez posłów liberalnych, chrześcijańsko-demokratycznych, społeczno-demokratycznych oraz niezależnych z prawicy i lewicy. Jak widać z tych skomplikowanych rozróżnień, porozumienie to grupuje środowiska mieszczańskie przeciwstawiające się polityce rządu de Gasperiego. Na czele tej grupy stoi Giuseppe Nitti, syn b. premiera. Większość z tych ludzi głosowała w ostatnich wyborach na de Gasperiego lub inne stronnictwa prawicowe. Żaden z nich dotychczas nie jest członkiem światowego ruchu obrońców pokoju. Lecz właśnie przemówienie Terranovy, małego, dobrodusznego człowieka, szczególnie jasno pokazało, że wszyscy uczciwi ludzie, niezależnie od wyznawanych poglądów, prędzej czy później muszą stanąć na tych samych pozycjach, to znaczy przeciwstawić się zdecydowanie imperializmowi amerykańskiemu i szukać porozumienia z siłami pokoju. „Wychodząc być może z przeciwstawnych punktów widzenia, z różnych za gądnień życia naszych narodów, musimy wspólnie na tym Kongresie podnieść głos na alarm, który obudzi sumienie i zmobilizuje ludzi dla pokoju jeśli nie chcemy, by jutro ludzie zmobilizowani byli na wojnę. Musimy zbu-



Poseł do parlamentu włoskiego z ramienia partii chrześcijańsko-demokratycznej — Terranova.

surd polityki atlantyckiej i sytuacji narodu francuskiego — siła i prawa ruchu obrońców pokoju sprawiły, że człowiek, który zdawało się nigdy nie znajdzie drogi do ludzi

(dokończenie na str. 6)



Ksiądz katolicki, delegat Chin Ludowych na Kongres Narodów, na spacerze z delegatami innych krajów.

wy kapitalistycznej, ciasnej i brzydkiej obliczonej na czynsz i wyzysk mieszkaniowy. Kiedyś, gdy w Wiedniu rozpocznie się budownictwo planowe, szereg dzielnic ulegnie za pewne zburzeniu, trudno natomiast

niż Światowa Rada, gdyż do Wiednia przybyło, — czy to jako reprezentanci różnych ruchów i organizacji, czy też indywidualnie — wielu ludzi daleko dotychczas stojących od ruchu obrońców pokoju.

JAN GÓRSKI

LISTY

(1939 — 1944)

1

Krawędzie gór ognisty brzask ze snu optókał.
Pod sklepieniem jaskótek pienią się ich stoki.
Owcom w dolinie przygrywa piszczałką świerszczy upał,
do granatowej wody scho.żną białe obłoki.
Kłaskanie bicza prowadzi trzodę w wieczór cienisty,
oczom znużonym świecą drzewa, pochodnie z miedzi,
w oknach alkowy wąski sierp księżycza poprzedził
lot nietoperza, gdy góry są już popiołem. Twe listy
mroźny proch ich oddadzą czulej dolin pieszczocie.
Tom Szekspira... Na szybach niebo, na niebie gwiazd krocie.
Kropie dźwięku, lzy ptaka...

„To nie skowronek, to słowik tak śpiewa...
Brzask chyżą stopą — ie wspiął się na góry.
Zostań, Romeo!

Pisałaś ten list, który

doszedł.

Przed świtem spadała pachnąca, letnia ulewa.

2

Dzwoniącego tramwaju obłok nie zatrzyma,
choć rozkrzyżował ramiona na moście.
Przetrze się szybę rękawem. Ach, pocóż?
Drzewa w bruku się kurczą żałośnie,
ludzi tyle, samotność rośnie.
Po miedzianej, wieczornej Wiśle
pełzną mosty na pajęczych nogach.
Domy schodzą na sam brzeg, jak trzoda.
Kraczą wrony, świeci woda...
A ten obłok, od Pana Boga
list, już przygasał.

Któż inny wysłę?

3

Przy furczących krosienkach
zielenieje piosenka
o zielonym javorze.

Wyżej — szkle malowana
Najświętsza Panna,
wpoprzek ciała Jezusa.

Ptak z powietrza ma schody,
obłok patrzy do wody
zanim głowę ułoży.

Cicho, panie żołnierzu,
boś westchnięty w pacierzu.
To ja.

Twoja matusia.

4

Idą sobie borem — lasem,
czasem we mchu leżą na pagórkach.
Samoloty buczą basem,
czarne trzmielie w białych chmurkach.
W lepkiem skwarze pobrzęk pszczełi
i ruch łapek na barwnych pasemkach.
Co raz dalej i dalej od szczelini,
gdzie się ziemia aż do dna rozpęka.
Psy szczekają, księżyc wschodzi,
chór świerszczów na umór trzaska.
— A dokąd to, jeśli łaska?
— A no w świat, mój dobrodzieju.
Dni spadają z kartek kalendarza
i spadają brązowe kasztany.
Okno wcisnęło się w jesień.
Jarzębiną óciekły parkany.
Jadą panowie — bratowie
w zapach deszczu ostatnich wakacji.
Zastukają w peron butami,
listy rzucają na maleńkiej stacji.

5

Pusty i sam, jak balon zerwany się błąkasz.
Wieczorem grali inwalidzi: skrzypek bez nóg, bez jednej ręki
trąbkarz.

Garb starca nie jest bolesny przy szluchu tej jednej ręki,
wszak kiedys pod jej dotykiem żyła młodość Hektora.
Ptak zbudzony otrząsa swobodnie ogień jutrzeńki,
ludzie śpią pokurczeni w dusznej ciemności norach.
Wzlatują nawet kolumny i kariatydy gmachów,
szyby parskać iskrami, jak konie u wodopoju,
kłaskaniem bicza rozbrzmiewa czerwone słońce na dachu,
cieniste wawoży ulic w przepaściach stoją.

Mój synku, to Warszawa,
to pali się Warszawa,
ale ty zaśnij sobie.

Katedrę rozsypana,
Nie ma Świętego Jana,
Król Zygmunt w prochu leży.
Został ze swą boleścią
Pan Jezus na Przedmieściu.
On nas pocieszy.

To, co tam leci, — kometa.
Ten gwizd — to gra na fletach.
O, tak, złóż ręce obie.

6

Toczą się jabłka czerwone
pod złotą koguta ostrogą.
W szklistej jesieni okien
muchy sadowią się błogo.

Z rana śpiewają kosy,
biegną po smudze cienia.
Wszystko, co było tobą,
w ich melodii się zmienia.

Malachitowa dolina
dymi gór fioletem.
Ruiny odpęły w zieleni,
jak węże uśpione fletem.

7

Ptak na gałązce wina
kołysze w oczach swych — niebo
i w dole puch zieleni.

Chmury, lodowce jasności,
niesie nad nimi w porywach
płacz dolin ciemnych.

Ręce szukają i giną..
Platyna szumi pod ziemią.
Żyją ludzie zmęczeni.

Z wezbranych ust zarośli
flet nocy się odzywa
do zwierząt niemych.

Tadeusz MYŚLIK

O uczestnictwie osobowości w planowaniu

U LUDZI, którzy w ten czy inny sposób stykają się co dzień z problematyką gospodarczą, nawet u tych, którzy jeszcze dalecy są od socjalizmu, narasta świadomość, że warunkiem i podstawowym postulatem racjonalnego gospodarowania jest koordynacja wysiłku gospodarczego — koordynacja, której wyrazem jest plan. Na przykładach sprawdzalnych faktów stało się jasnym, że planowanie zapobiega kryzysom gospodarczym, reguluje stosunek ilości towaru do ilości pieniądza w obiegu, przez co stabilizuje jego wartość, zabezpiecza właściwe finansowanie i realizację inwestycji zapewniających z kolei ciągłość reprodukcji rozszerzonej, likwiduje bezrobocie i pozwala na jak najbardziej racjonalne wykorzystanie kadr.

Dlatego też Zenon Drozd w nr 252 „Słowa Powszechnego“ w artykule pod tytułem „Swoboda działania gospodarczego a system planowania“ — bardzo trafnie zwrócił uwagę na fakt, że przeciwnicy systemu planowania krytykują go jedynie z pozycji socjologicznych, pomijając zupełnie aspekt ekonomiczny tego zagadnienia. Zenon Drozd pisze:

„...burżuazja, nie znajdując argumentów ekonomicznych dla krytycznej oceny socjalistycznego systemu gospodarczego, posługuje się argumentami socjologicznymi. Pozwala to ukryć istotną treść tego systemu i przedstawić go w krzywym zwierciadle. Pojęcia i terminy socjologiczne wzięte z kapitalistycznej rzeczywistości przenosi się do stosunków socjalistycznych, nie wspominając o zasadniczej odrębności treści i formy obu ustrojów. Tym sposobem nie tylko przetrzymuje się dyskusję z niewygodnej dla burżuazji platformy ekonomicznej, ale nawet rozpatrując zagadnienie planowania gospodarczego z pozycji socjologicznych fałszuje się jego treść przez posługiwanie się terminologią i pojęciami obcymi nowym stosunkom.“

W artykule pt. „Gospodarka planowa a osobowość ludzka“ zamieszczonym w nr 313 „Dziś i Jutro“, omawiającym stosunek gospodarki planowej państwa socjalistycznego do osobowości ludzkiej, wykazywałem, że pomiędzy dwoma tymi pojęciami nie ma tego typu sprzeczności, jakie chcieliby widzieć liberalizujący przeciwnicy planowego gospodarowania. Artykuł niniejszy poświęcony jest dalszemu ugruntowaniu postawionej poprzednio tezy. Chodzi mi mianowicie o wykazanie tych elementów tworzenia planów gospodarczych i ich realizacji, które, po pierwsze sprzyjają rozwojowi osobowości ludzi uczestniczących w obu powyższych procesach, a po drugie dają gwarancję uwzględnienia w opracowywanych planach postulatów osobowości ludzkiej. Mówiąc innymi słowy, wnoszą do opracowywanych planów gospodarczych element personalistyczny. Jest oczywiste, że w stosunku do celów, jakie stawia sobie zbiorowość realizująca ustroj sprawiedliwości społecznej — gospodarka planowa, jako metoda działania gospodarczego, ma charakter służebny. Każdy plan gospodarczy ma do spełnienia pewne ściśle określone zadania, służy realizacji konkretnego programu gospodarczego. Fakt ten określić można terminem „planowanie dla człowieka“. I tak też zagadnienie to należy rozpatrywać. Raz jako sposób realizowania konkretnej polityki ekonomicznej, a drugi raz w aspekcie celu tego właśnie działania.

Ale pierwiastek osobowościowy tkwi nie tylko w zagadnieniu samego celu. Termin „planowanie dla człowieka“ nie jest zupełny. Analizując elementy osobowościowe planu uwzględnić musimy dwa fakty podstawowe. Pierwszy, że plan opracowany jest dla człowieka i przez za-

pewnienie warunków zaspokojenia jego potrzeb wpływa na rozwój jego osobowości i drugi, że plan opracowywany jest przez człowieka, a raczej, tu musimy już użyć terminu „przez ludzi“, których osobowość uczestniczy w procesie jego tworzenia.

Typowym przykładem tego uczestnictwa jest właśnie rozwinięta i włączona w proces planowania — inicjatywa pracownicza. Świadomi potrzeby opracowania realnych i mobilizujących planów gospodarczych — pracownicy poszczególnych jednostek planujących współuczestniczą w tworzeniu się planu swoją wiedzą zawodową, znajomością przedsiębiorstwa, jego ukrytych rezerw produkcyjnych itp. Projekty planów dyskutowane są na zebraniach produkcyjnych załogi, na zebraniach organizacji związkowych, młodzieżowych i partyjnych. Czynnikiem społecznym reprezentowanym jest i bierze udział w opracowywaniu planów na wszystkich szczeblach aparatu planistycznego. W ten sposób poprzez łańcuch jednostek planujących, inicjatywa pracownicza współuczestniczy bezpośrednio w opracowaniu planu narodowego. W ten sposób realizatorzy zadań przez plan nakreślonych są zarazem ich rzeczywistymi współtwórcami. Świadomość potrzeby i gospodarczej konieczności realizowania planu mobilizuje pracowników nie tylko do wzmoczenia wysiłków i zwiększenia wydajności pracy, ale czyni niejako współodpowiedzialnymi za wykonanie przyjętych na siebie obowiązków. Dlatego tak ważne jest zagadnienie właściwej popularyzacji planu wśród załogi oraz ustanowienie moralnej współodpowiedzialności zbiorowej za wykonanie planu u jego realizatorów i twórców.

Jak wszędzie niestety, tak i na tym odcinku nie brak również biurokratycznych wypaczeń. Nie brak jest ludzi, którzy podchodzą do opracowania planów z niewiarą i sceptycyzmem, sporządzają je wyłącznie w tym celu, ażeby zadośćuczynić wymogom takiego czy innego terminu. Przez swoją nieuczciwą postawę ludzie ci nie tylko zaprzeczają inicjatywę i wkład pracy swoich współpracowników, ale zmieniając właściwy obraz swojego odcinka zaciemniają i często niweczą realny obraz danych planów zbiorczych.

Inną formą wypaczenia w tej dziedzinie jest zapominanie o celowościowym charakterze planowania, o tym, że planowanie nie jest celem samym w sobie, tylko środkiem. Ludzie tacy podchodzą do planu jak najbardziej antypersonalistycznie bo bezdusznie i gotowi są kruszyć kopie o poszczególne jego cyfry nie widząc, że cyfry te dają w sumie jakąś całość, całość, której części składowych nie można traktować partykularnie.

MARTWY „WULKAN“

(Dokończenie ze str. 1)

wojorska jest w tej chwili całkowicie tworem pozahistorycznym. To, że w imię powrotu do władzy gotowi są oni na najbardziej nieprzewidziane działania polityczne wbrew interesom narodu — jest znane. Ale to, że mogli się ludzi liczyć 100 tys. „partyzantów“, że cieszyli się jako z materiału politycznego z karty restauracyjnej, jest dowodem zupełnego zatracenia już zd. owego rozsądku. Pobyt na obczyźnie, oderwanie od narodu, demoralizacja powodowana płatną służbą dla obcych interesów stworzyły na gruncie zdeterminowań klasowych z emigracyjnych środowisk politycznych ludzi wrogich pod stawowemu interesowi narodowemu i znajdujących się obok historii. Jest to gałąź obumarła i jedynie co stamtąd może do nas przyjść — to trupi zaduch rozkładu.

Te zarówno pozytywne jak i negatywne przykłady w pełni ilustrują zakres i możliwości uczestnictwa osobowości ludzkiej w procesie tworzenia się planu, oraz to, że pleniący się jeszcze tu i ówdzie, chociaż powszechnie piętnowany biurokratyzm jest największym wrogiem osobowości.

JEDNĄ z najbardziej doniosłych przemian w dziedzinie rozwoju osobowości ludzkiej, konkretnie w dziedzinie stworzenia warunków tego rozwoju, jest fakt, że z pracy w olbrzymiej większości wyłącznie najemnej, nieświadomej innego celu wysiłku poza utrzymaniem zarobku w dniu wyplatu, społeczeństwo przechodzi stopniowo do pracy świadomej, do świadomego udziału w procesie produkcji, w procesie zapewnienia: „maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki“¹⁾ Ni czym innym, tylko właśnie świadomym udziałem w procesie produkcji jest ruch socjalistycznego współzawodnictwa, jako formy krytyki i samokrytyki przez czyn, ruch pracowniczego nowatorstwa, racjonalizatorstwa i wynalazczości. Józef Stalin w ten sposób charakteryzuje doniosłość świadomego udziału człowieka w procesie produkcji: „Realność naszego programu — to żywi ludzie, to my wszyscy, nasza chęć do pracy, nasza gotowość do pracy po nowemu, nasza wola wykonania planu“. Po to aby udział ten był w pełni świadomy, każdy pracownik musi znać zarówno podstawowe cele ogólnospołeczne gospodarki narodowej jak również swoje zadania odcinkowe, które ma wykonać i za których wykonanie społecznie odpowiada. Jest to właśnie postulat popularyzacji planu aż do poszczególnych podstawowych stanowisk produkcyjnych włącznie.

KONKLUDUJĄC stwierdzić należy, że ta oczywista aktywizacja osobowości ludzkiej, przez świadome uczestniczenie w procesie produkcji planowej, szlachetna rywalizacja w ruchu wyzawodnictwa pracy, chęć usprawnienia przebiegu produkcji i udziału w pracy sobie i swoim współpracownikom przez udział racjonalizatorów i nowatorów, pomoc dla pozostających w tyle ze strony produkcyjnych po to, aby wszyscy osiągnęli wyższy poziom, wszystko to zupełnie oczywiście sprzyja rozwojowi tej właśnie osobowości. Fakt ten musi zostać uznany i nie może być obojętny wszystkim tym, dla których nie jest obojętny sam rozwój osobowości ludzkiej, jako etapu na drodze osiągnięcia pełni człowieczeństwa.

1) J. Stalin „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“. Książka i Wiedza, Warszawa 1952.
2) W. I. Lenin i J. W. Stalin „O współzawodnictwie pracy“. Książka i Wiedza, Warszawa 1950

U SIEBIE W DOMU

UJAWNIEŃIE całego cynizmu amerykańskich prób oddziaływania na stosunki polskie, jakim jest oświadczenie ostatnich kierowników WIN'u, jest dla narodu polskiego jeszcze jedną lekcją historii. Jest potwierdzeniem i jaskrawym oświetleniem tego, co od kilku już lat stało się przekleństwem całego społeczeństwa — że idziemy słuszną drogą i inną nie pójdziemy. Wiemy, że nie jest ona łatwa, że wymaga wielu trudów i wyrzeczeń. Ale jest drogą — zapewniającą wielkość i rozwój Ojczyzny. Złączeni we Froncie Narodowym, którego zasadę wzmacnia Państwem, zwiększamy jeszcze wysiłki, by wnieść taką siłę gospodarczą i polityczną, której nie da się wcale nie zagrozić. Mieczysław Kurzyński

Wanda PIENKOWSKA

Smyczkiem urzeczeni..

NIE ulega wątpliwości, że w owe dni wdało nami muzyczne szaleństwo. Byliśmy opici, upici, zalani muzyką najwyższego gatunku. chodziliśmy po ulicach Poznania nieprzytomni, szczęśliwi, odurzeni, zamknięci w magicznym kręgu siedmiu tonów. Być może, że spytani w tym czasie o własny adres,

Hindus nie miał szans na przejście do finału: Homi Kanga znajduje się z żoną i dwojgiem dzieci w bardzo ciężkich warunkach materialnych, choć z zawodu jest inżynierem. W codziennej trosce twardo musi walczyć o byt swojej rodziny, a skrzypce... skrzypce są wielką miłością jego życia:

troskliwą ręką szykującej wieszczkę matki. Powiadacie, że na to nie potrzeba było aż Międzynarodowego Konkursu, bo każde dziecko wie, że w mieście są ulice, domy, małe dzieci i troskliwe, gotujące posiłki matki? A ja myślę, że zawsze najtrudniejsze do pojęcia są najoczywistsze napozór prawdy i że jednak Bombaj dopiero teraz stracił posmak sensorycznej egzotyki, a nabrał cech bliższego nam, codziennego życia. Ale wróćmy do oficjalnej strony Konkursu.

Dla polskiej wiolonistyki ta dalekosiędna i wszechstronna konfrontacja osiągnięć własnych z poziomem skrzypków zagranicznych ma znaczenie ogromnej miary, znaczenie, którego ciężar gatunkowy bezwzględnie zaważy na dalszym rozwoju naszej szkoły skrzypiec. Z drugiej strony wzajemna wymiana poglądów, popartych praktycznym przykładem, przyniosła artystom i pedagogom wszystkich obecnych na Konkursie krajów olbrzymią sumę doświadczeń, co wpłynie na podniesienie poziomu gry skrzypcowej w skali światowej. Polska literatura skrzypcowa dotarła drogą przedkonkursowych recitali kandydatów do słuchaczy na obu półkulach, a nawiązane podczas Konkursu kontakty dopomogą do żywszej wymiany nowości repertuarowych. I jeszcze jedno: poznański Konkurs wzbudził wśród naszego „zfortepianiałego” społeczeństwa ogromny entuzjazm dla skrzypiec. Nareszcie.

W każdym razie cały Poznań, jak jeden mąż chodził w te dni smyczkiem urzeczony, a czcigodna, stara Aula Uniwersytetu potrafiła jakoś (niczem cwany tramwaj warszawski) pomieścić w swych napozór nierozciągliwych murach nieprawdopodobnie ilościowo rzesze. Aż dziw, że się balkony nie pozarywały, bo trzeba jeszcze dodać, że w on czas, dla ulżenia wężbrany sercom, nie wystarczały nam zwykłe sobie oklaski. Musieliśmy też tupać i wyć. Dlaczego? Bo nie sposób samym oklaskiem wyrazić serdeczne uczucie. A myśmy byli — jakby to powiedzieć? — zbiorowo zakochani... W wiośniwym wdzięku gry i postaci Igora Ojstracha, w fascynującym, zlekka demonicznym zjawisku, ja-

przejęci do dna serca pięknem i najwyższej miary wzruszeniami, jakie spływały na nas za sprawą ich smyczków.

I tu wylania mi się jeszcze jeden nieoficjalny „wydźwięk” Konkursu. Oto, po pierwszych paru dniach, przestało dla nas być istotne, kto właściwie weźmie pierwszą nagrodę. Igor, Wanda, Homi, Ladislav, Emil, Csaba, Blanche — wszyscy — uczestnicy Konkursu stali się nam tak bliscy i drodzy, jak rodzina. I muszę przyznać, że po raz pierwszy w życiu odczułam tak silnie i radośnie głęboką więź pomiędzy ludźmi różnych narodów, przekonałam i ras, więc, wpływającą z tego prostego, a dziś dopiero w pełni docenionego faktu, że wszyscy jesteśmy ludźmi...

Ze odczucie tej prawdy stało się w owych dniach w Poznaniu powszechne — świadczyła reakcja sali przy oficjalnym ogłoszeniu wyników Konkursu i rozdaniu nagród:

...nie było różnicy w natężeniu i serdeczności oklasków, entuzjastycznego tupania i radosnych okrzyków, przy odczytywaniu poszczególnych nazwisk. Cieszyliśmy się patrząc przez 10 dni na szlachetne, pozabawione zawiści współzawodnictwo



Wanda Wilkomirska
fot. C.A.F.

dzień z nocą, bo nie zdarzyło się ja-koś, żeby komuś z akompaniatorów pękła w czasie audycji struna (choć temperament ponosił nie jednego), za to późnym wieczorem, po zakończeniu wszystkich występów, audycji, koncertów i prób — fortepiany błagały jęklivymi dźwiękami o pomoc.

Osobna „zamyśleń chwila” należy się bez wątpienia ważnym współuczestnikom Konkursu — akompaniatorom i orkiestrze. Niestety, przyznać musimy, że gospodarze wypadli tu najslabiej. I to zarówno



Igor Ojstrach w rozmowie z Blanche Tarjus

fot. C.A.F.

potrzebowalibyśmy paru minut do namysłu. Natomiast utwory grane przez Igora Ojstracha w pierwszym etapie, każdy z nas mógł wyrecytować jednym tchem, nawet obudzony z głębokiego snu. Nie było też w tej dekadzie dni tygodnia — piątek, środa, czy niedziela stały się obcymi pojęciami: „to było wtedy, gdy grała Marta Hidy...” — mówiliśmy, albo: „dlaczego nie oddałeś mi tych materiałów, jak obiecałeś, w dzień audycji Palulisa?...”. Tak było w owe dni II Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. A podsumowanie, jakie się tej wielkiej i o szerokim zasięgu imprezie należy — musi być dwójakie. Bo i wyniki Konkursu okazały się dwójakie: oficjalne i nieoficjalne...

Wręcz rewelacyjną niespodzianką sprawił ogólny poziom uczestników — niezwykle wysoki, tak pod względem muzycznym, jak i technicznym. Nie tu miejsce na fachową ocenę poszczególnych szkół i kierunków, reprezentowanych dość wyraźnie przez jednostki (Blanche Tarjus — Francja), czy całe grupy (ekipa radziecka). I nie o to w tej chwili chodzi. Należy tylko może zaznaczyć, że polska ośmioosobowa ekipa stanowiła zwartą naogół grupę interpretacyjną polskiej szkoły skrzypcowej, a czwórka, która zajęła jedno drugie i trzy czwarte — (nie mylić z ułamkiem 3/4) — miejsca, wykazała naprawdę wysoką klasę. Ale to tylko uwaga na marginesie, a chodzi mi o to, że na dwudziestu trzech skrzypków — trzynastu przeszło do drugiego etapu, a możecie wierzyć, że dziesiątka, która nie przeszła, to też sami dobrzy muzycy.

I tu już macie tę podwójną buchalterię Konkursu: oficjalnie stwierdzić należy, że taki np. przedstawiciel Indii — Homi Kanga, odpadł w pierwszym etapie, no bo rzeczywiście byli lepsi od niego. Gdyby jednak po tym stwierdzeniu postawić do prostu kropkę — prawdziwy obraz byłby mocno spaczony... I właśnie nieoficjalne podsumowanie potrzebne jest po to, aby wszyscy dowiedzieli się, dlaczego

— Koledzy śmieli się ze mnie, że wybieram się tu do Was, na wielki Konkurs — powiedział nam na konferencji prasowej, patrząc w koło swymi przepysznymi, czarnymi oczyma. Mówił tak cicho i nieśmiało, że słyszeli go tylko najbliżsi siedzący. — Bo, widzicie, mogłem ćwiczyć zaledwie cztery godziny tygodniowo... W Londynie z samej muzyki żyć nie można... Ale jednak przyjechałem, aby powiedzieć Wam, że w Indiach także kochają muzykę, że i u nas znany jest Chopin, Moniuszko, Wieniawski...

Przyjechał i dzięki temu daleki Bombaj przestał być dla nas ab-



Csaba Bokay

fot. C.A.F.

strakcyjnym punktem na mapie — teraz już zawsze będziemy o nim myśleli, jako o mieście, w którym, w 1922 roku, urodził się nasz przyjaciel Homi Kanga, jako o mieście, po którego ulicach biegają małe dzieci, gdzie stoją domy, z których kominów wzbija się wieczorem smużka dymu z ognia wzniesionego

kim, tak pod względem artystycznym, jak i urodził się Wanda Wilkomirska, w niewysłowionej finezji gry Blanche Tarjus i jej wiotkiej, delikatnej figurki, w głęboko dojrzałej interpretacji i mistrzowskiej wirtuozerii Juliana Sitkowieckiego, w żywiołowym temperamencie Marty Hidy... byliśmy zakochani i



Julian Sitkowiecki rozgrywa partię szachów z hinduskim skrzypkiem Homi Kanga

fot. C.A.F.

najwybitniejszych młodych talentów muzycznych z czterech stron świata i wraz z nimi świętowaliśmy 11-go dnia godne zwycięstwo tych najlepszych, wybranych w ciężkim trudzie obiektywnego sądu przez dostojne grono Jury.

„Ludzie zza zielonego stołu” — jak nazywaliśmy Jurorów między sobą — to był dobrany zespół najtęższych muzyków starszego pokolenia wielu krajów. Każde nazwisko wybrane na chybił trafił z góry, z dołu, czy ze środka długiej listy: E. Zathureczky, G. O. Orwid, F. Daniel, E. Umińska, O. Wagner — posiadała na międzynarodowym forum tonową przynajmniej wagę.

Obraz Konkursu nie byłby pełny, gdyby pominąć działalność „pogotowia technicznego”, czyli Antoniego Karolkowskiego — specjalisty od instrumentów smyczkowych i Jana Zajewskiego — korektora i stroiciela fortepianów. Obaj oni byli na posterunku dzień i noc. Gdyby nie Karolkowski — Wanda Wilkomirska, której zepsuł się w skrzypcach t.zw. podbródek, nie mogła by dograć do końca audycji w pierwszym etapie. Karolkowski jest samoukiem, który znakomicie posiadał lutniczą wiedzę i nie tylko jest błyskawicznym mistrzem w naprawie, ale również sam buduje skrzypce. Zajewski, znowu, to fachowiec z przadka pradziada. Stroił fortepiany wszystkim bodaj najslawniejszym pianistom polskim naszych czasów, a z usług jego korzystali Orłow i Cortot. Na Konkursie zamieniał

jeśli chodzi o pianistów, jak i samą orkiestrę, której pod względem dźwiękowej niezgodności — mimo doświadczonej batuty St. Wislockiego i J. Krenza — przedziwne zdarzały się momenty. Z gości zagranicznych wysoką klasę akompaniamentu wykazały obydwie pianistki radzieckie, szczególnie I. Kollegorskaja, oraz przedstawicielka CRS — E. Hodinarowa. Prawdziwym jednak mistrzem tej arcytrudnej sztuki okazał się Węgier — György Banhalmi, pianista, kompozytor dyrygent w jednej osobie, którego akompaniament nie był dyskretnym, lepiej, czy gorzej wykonanym tłem, a wykazywał ściśle powiązanie partii fortepianu z partią solisty, dając w każdym utworze pełnię artystycznego wyrazu.

Ten niezwykle utalentowany, dwudziestosześcioletni muzyk, od najwcześniejszego dzieciństwa zdradzał nieprzeciętne zdolności. Mając 4 lata występował w Budapeszcie jako pianista, a pierwszą swoją kompozycję napisał w wieku lat 6-ciu. Uczęszczając do Wyższej Szkoły Muzycznej w stolicy Węgier studiował równolegle na trzech wydziałach. W 1949 r. otrzymał dyplom dyrygenta (klasa prof. Ferenca), a w 1950 dyplom pianisty (klasa prof. B. Ambrozy) i kompozytora. Mistrzem kompozycji Banhalmi'ego był słynny kompozytor węgierski prof. Janusz Viski.

(Dokończenie na str. 6)

OTO AMERYKA NOTATNIK WIEDENSKI

(Dokończenie ze str. 3)

„Przyślijcie wszystkich, których sterają
Te rolna rzesze co wolności chcą
Ów upodlony brzegów waszych lud
Tych co bezdomni i co w burzach
Wznoszą pochodnię u mych złotych
Wrót...“
(fragment z poematu Emmy Lazarus,
wyrzuty u podnoża posągu Wolności
w porcie nowojorskim).

KIEDY pisze się recenzję z wystawy, którą zwiedziło się dokładnie i zapamiętało wszystkie jej najdrobniejsze nawet szczegóły, bywa najczęściej tak, że ciśnie się pod pióro albo niezliczona ilość słów, albo też nie wiadomo od czego zacząć. W tym ostatnim wypadku, znanym zresztą z pewnością wszystkim recenzentom, zachodzi szczególnie duża trudność — trudność wyboru.

Stanełam wobec niej bezpośrednio po zwiedzeniu wystawy „Oto Ameryka“ otwartej w Arsenale Warszawskim. Tak wielka różnorodność tematów po prostu przeraża. Każdy z nich posiada w jednakowym stopniu istotny sens polityczny — jednakowo ważny i aktualny właśnie dzisiaj. Wybór zatem upada.

Przystępując do recenzji konieczne jest ukazanie w niej tego wszystkiego co w ramach wystawy złożyło się na słowa — „Oto Ameryka“. Tylko wtedy spełni ona swoje zadanie.

To, że wystawa wzbudziła zainteresowanie, zawdzięczać należy przede wszystkim jej organizatorom, którzy wykazali dużą umiejętność stosowania kontrastu. Dzięki niej tematyka wystawy nie jest sucha i bezbarwna, ale wręcz przeciwnie — żywa i zaskakująca coraz to czymś nowym. Obok Ameryki wielkiego kapitału i wyzysku poznajemy więc Amerykę strajków, kraj trzynastu milionów bezrobotnych; obok podlegających wojennych mamy najwybitniejszych przedstawicieli ludu amerykańskiego a więc np. Harry Bridges, przewodniczącego Związku Dołkerów na wybrzeżu Pacyfiku, czy Rose Russel, reprezentującą związek Nauczycieli w New Yorku.

Szczególnie obszernie potraktowany został problem walki wolnościowych w Ameryce i to nie tylko w dobie obecnej, ale w ogóle na przestrzeni dziejów. W pierwszym rzędzie wyraźnie rysuje się tu piękna postać Johna Browna, drobnego farmera ze stanu Kansas, który w 1850 roku usiłował wzniecić powstanie niewolników. Skazany na śmierć przez „sprawiedliwość“ żyje dziś w amerykańskiej pieśni i legendzie. Jako wielki plus na korzyść organizatorów wystawy należałoby wymienić powiązanie sylwetki Browna z naszym wielkim poetą — Cyprianem Norwidem. Krótki pobyt w Ameryce polskiego poety był jednym nieprzerwanym pasmem rozczarowań. Zamiast spodziewanej wolności znalazł tam rosnącą tyranję plantatorów i przemysłowców a przede wszystkim niewolnictwo. Ale tu właśnie w Ameryce zrodziła się jego przyjaźń z Johnem Brownem — bohaterem abolicjonizmu. Na wieść o powieszeniu Browna Norwid napisał wiersz pełen bólu i grozy.

Pisał w nim m. in.

„Przez oceanu ruchome płaszczyzny
Pień ci jak mewa posyłam o Janie
Ta lecieć będzie dłużej do ojczyzny
Wolnych — bo wąpii już czy ją zastanie.“

„Ojczyzny wolnych“ — powiada Norwid i jednocześnie wątpi w tę rzekomą wolność, nie wierzy w nią. Na potwierdzenie wystarczy chociażby wskazać na trwające po dziś dzień niewolnictwo Murzynów. Wprawdzie zniesiono je ustawowo w roku 1804 i w następnych latach w konsekwencji zwycięstwa Stanów Północnych w wojnie secesyjnej, ale była to niestety cześć formalność. W Ameryce nadal nie ma faktycznej wolności Murzynów. Od roku 1900 żaden Murzyn nie zasiada w

Izbie Ustawodawczej, w 21 stanach Murzynów nie wolno przyjmować do żadnej szkoły i uczelni do której uczęszczają biali, w 16 stanach Murzynom nie wolno korzystać ze wspólnych z białymi środków komunikacji, szpitali i poczekalni. Zgodnie z ustawą stanu Missisipi małżeństwo osoby białej z osobą mającą przynajmniej 1/8 lub więcej krwi murzyńskiej jest nieważne i podlega karze więzienia. Oto tylko



nieliczne dowody „amerykańskiej wolności“.

Organizatorzy wystawy nie ograniczyli się jedynie do przedstawienia jednej strony medalu, ale ukazali i drugą — wciąż rosnące uświadomienie Murzynów. Naród murzyński podjął słuszną walkę o swe prawa. Oto m. in. Wiliam Patterson jako przewodniczący Kongresu Obrony Praw Obywatelskich złożył w ONZ skargę o ludobójstwo dokonywane w USA na narodzie murzyńskim. Dzielnie w akcji tej sekunduje mu Charlotta Bass, wybitna murzyńska publicystka, przedstawicielka Partii Postępowej.

Szczegóły współczesnej polityki amerykańskiej ukazane w swej prawdziwej szacie, brutalnie, ale zarazem słuszenie, rażą w widza z nieublaganą siłą. Korea — miejsce najokropniejszych zbrodni dokonywanych na tamtejszej ludności wstrząsa człowiekiem do głębi. Widok nie

wielkiej muchy w stołku, zarażonej dżumą, czy komara, któremu zaszczyt piono cholerę — przeraża. Krzyczą puste kaloty bomb bakteriologicznych, wystawione na widok publiczny! I wystawa, chociaż przeważnie obejmuje zdjęcia, a niewielką tylko ilość eksponatów — zaczyna przemawiać... Przemawia coraz to silniej, natarczywiej.

Wreszcie oko pada na cały szereg wydawnictw — rozchwytywanych przez

amerykańską młodzież — broszury pornograficzne, niesamowite powieści kryminalne, których tematyką jest zbrodnia, kradzież, dzieciobójstwo...

Ale współczesna Ameryka to nie tylko rasizm i commiesy. Nowe, powstające obozy koncentracyjne, dokąd FBI zsyła tysiące ludzi za ich postępowe przekonania, urozmaicenie programu nauczania w szkołach przez ćwiczenia przeciwatomowe — oto jeszcze jedno oblicze Ameryki. W rezultacie podsypanej, stale rosnącej, psychozy wojennej, co 9 mieszka niec USA, nie wyłączając dzieci, jest „podejrzany“, a kartoteka FBI posiada odciski palców 16.700.000 obywateli...

I dosyć... Zbyt trudno jest pisać o czymś, co trzyma człowieka w nieustannym napięciu nerwów. Wystawę trzeba zobaczyć samemu.

Wiesława Ratajezyk

Smyczkiem urzeczeni...

Dokończenie ze str. 5

W 1948 r., jeszcze jako student, Bánhalmi-pianista, wziął III nagrodę na Międz. Konkursie im B. Bartoka. Obecnie jest solistą Państwowej Filharmonii w Budapeszcie. Myślę, że nie popełnił wielkiej niedyskrecji zdradzając, że za kilka miesięcy usłyszymy go, być może, u nas na symfonicznych koncertach. Byłby to jeszcze jeden nieoficjalny, a dodatni wynik Konkursu, tym bardziej, że poznaliśmy wtedy najnowszy, w listopadzie ub. roku skończony Koncert Fortepianowy J. Viskiego. Jako kompozytor, György Bánhalmi uszerpie pełną dłoń z bogatego folkloru węgierskiego, pisząc utwory wzruszające głębią przeżycia, których melodyjność związana jest po mistrzowsku z nowoczesnymi środkami wyrazu i wysokim stopniem trudności technicznych.

Ale, zdaje się, odbiegliśmy nieco od tematu... Do rzeczy więc. Z okazji Konkursu nasi goście zagraniczni w okresie II etapu dali szereg koncertów w poznańskich fabrykach. Jako najbardziej utkwiała mi w pamięci gościna w Zakładach im. Stalina. Przyjechaliśmy wczesnym popołudniem. Już samo powitanie nad wyraz wypadło serdecznie — artyści z miejsca utonęli w powodzi dygów i kwiatów hojnie rozdzielanych przez małe dziewczątka w krakowskich strojach. Przy warkocie wszędobylskiej kamery Filmu Polskiego obejrzaliśmy modele produkowanych tu wagonów i parowo-

zów, poczym zaczął się koncert. Chłopcy w granatowych kombinazonach słuchali z wypiekami na twarzach. Dziewczątka w krakowskich strojach słuchały z rozzłoszonymi buziakami. A starsi — kobiety i mężczyźni — słuchali całym sercem i niejedno oko zaszło tam mgłą pokrytego szorstkim chrząknięciem wzruszenia. Oklaski były spontaniczne i przepojone nieklamną wdzięcznością. Wyjść nie było łatwo: tłum robotniczej młodzieży ławą ruszył po cenne autografy. A gdy siedzieliśmy już w autokarze — nad miastem zapadł tymczasem zmrok — kilkanaście postaci moknąc na deszczu czekało, aż ruszymy, aby skłnieniem ręki przekazać artystom ostatnie, serdeczne pozegnanie.

Tak więc Poznań, zmieniony na przeciąg 10 dni w ośrodek muzycznych zainteresowań całego bezmała kulturalnego świata — wywiązał się ze swej roli czulego i czujnego gospodarza bez zarzutu. Na specjalną uwagę zasługuje też inicjatywa otwarcia w dzień inauguracji Konkursu bardzo interesującej wystawy „Skrzypce w Polsce“, gdzie pokazana została historia powstania na ziemiach naszych, oraz tradycje wiolonistki polskiej.

Ostatnie echa skrzypiec umilkły już dawno w kątach posmutniałej

walki, do optymistów wierzących w postęp i przyszłość ludzkości, że taki człowiek w ciągu roku porzucił swą samotnię „rozpaczy“, został właściwie działaczem społecznym — czyli czymś najdalszym od jego poprzedniej postawy — i całą siłę swego talentu i temperamentu rzucił na pomoc ludziom, którzy dawniej wydawali mu się zbyt prości, śmiešní i naiwni. Niezbyt wierzę w prze-widywania oparte na psychologiczowaniu, ale obserwując Sartra odnosiło się wrażenie, że pójdzie on dalej drogą, na którą wkroczył.

I może dlatego, że jest to pierwsza sesja, wszyscy delegaci pilnie przysłuchują się przemówieniom, wielu ze słuchawkami na uszach bez przerwy notuje, tak jak siedzący koło mnie Błaut, czołowy górnik polski, który pierwszy zrealizował plan sześćdziesięcioletniej Z naszą delegacją sąsiaduje kilkusobowa delegacja Mongolii. Tylko jedna delegatka zna język rosyjski, słucha więc tłumaczenia przez słuchawkę, i z kolei tłumaczy pozostałym na język mongolski.

Wieczorem zachodzę do Kursałowu, przez który przewija się masa ludzi, i gdzie zawsze można zebrać trochę wiadomości. Grupa, bodaj, że Szwajcarów, dyskutuje zagadnienie, czy tak powszechne spotkanie miało kiedykolwiek miejsce. Plenarne sesje ONZ nie mogą się z naszym Kongresem porównać, nie tylko dlatego, że szereg narodów nie jest tam reprezentowanych — wystarczą wymienić Chiny, Niemcy, Włochy i narody kolonialne — ale przede wszystkim w salonach ONZ spotykają się zawodowi dyplomaci, na ogół wszyscy do siebie podobni. Tymczasem tutaj zjechali się ludzie, z których ogromna większość — nawet przeszło połowa Francuzów — nigdy nie opuściła granic swoich krajów. Wszyscy przeżywają wzajemne wzruszenie, że ludzie, tak są do siebie podobni, że mają te same nadzieje i rozterki, że sami problemy religijne, filozoficzne czy polityczne, że tak łatwo mogą się nawzajem zrozumieć i znaleźć wspólny język nawet przez dwóch

tłumaczy. Zdarzają się też incydenty rozczulające.

Oto Szwajcarzy opowiadają, że ja daję wspólnie w małej restauracji z delegatami Islandii i Vietnamu. Obie te delegacje spóźniły się przez szło godzinę na obiad. Okazało się, że Islandczycy po raz pierwszy w życiu zobaczyli drzewa, które nie rosną w ich zimnym kraju. Zatrzymywali się więc przy każdym drzewie, opukiwali je dokładnie nie mogąc się nadziwić, że coś takiego na prawdę rośnie. Vietnamczycy zaś zajęci byli obserwacją nieznanego im śniegu i lodu. Mimo tak różnych warunków bytu klimatycznego i innych języków obie delegacje szybko znalazły sposób wzajemnego porozumienia się i doszły do wniosku, że mają w swych krajach te same zagadnienia do rozwiązania.

W ostatniej chwili natykam się na zebranie katolików z Włoch, Francji, Belgii i Niemiec zachodnich, którzy toczą zajadła dyskusję ideowo-polityczną. Większość zachwycona jest Kongresem, dwocn upiera się przy twierdzeniu, że to jednak „impresja komunistyczna“. Ci ostatni obaw są obserwatorami. Księża francuscy atakują ich ostro. „Kto was tu przysłał, że powtarzacie amerykańskie brednie? Od kiedy Kitchlew, Terranova, Nitti i Sartra są komunistami“. Dyskusja staje się gorąca. Na mój widok oponenci rzucają się z szeregiem pytań zaczerpniętych z arsenału „Głosu Ameryki“. Chcą wiedzieć o wszystkich sprawach, które uważają za „drażliwe“ dla kogoś z kraju demokracji ludowej. Rozmowa się przeciąga; mówimy o wolności religii, o wolności w ogóle, o procesach politycznych itd. Dyskusja zresztą jest ciekawa i wskazuje jaką problematyka najbardziej interesuje obecnych na Kongresie katolików. Uczestniczący w rozmowie członkowie delegacji austriackiej, podejmuje się zorganizować pojutrze szersze zebranie, gdzie wszystkie zagadnienia prze-dyskutuje się zbiorowo.

Jest już zbyt późno, bym streszczał dzisiejszą rozmowę, uczynię to pojutrze, gdyż te same problemy wrócą z pewnością, a wrażenia dzisiejszego dnia zamknę wypowiedzią francuskiego księdza - robotnika, tak, jak ją zapamiętałem: „Mówicie o prześladowaniach Kościoła w Chinach. W tej sprawie radzę wam się porozumieć z katolickim księdzem chińskim, członkiem delegacji z Pekinu, który dziś ze mną rozmawiał, lub z Endicottem, spędził tam lat 20 i jest dobrym chrześcijaninem. Co do wolności, to nie lubię, gdy ktoś w naszym kraju o niej rozprawia. Ja pracuję 8 lat w zakładach pana Janota, który jest jedynym samowładnym panem tysięcy rzeszy robotników; żaden z jego pracowników ani jedno z ich dzieci nie jest człowiekiem wolnym, może wolny jest p. Janot, ale ja pana Janota nie znam“.

d. c. n.

Dominik Horodyński

Zawiadamy Przewielebne
Duchowieństwo

ze

KSIEGA PODATKOWA Nr 11
(księga przychodów i rozchodów
dla duchownych)
jest do nabycia w sklepach

„VERITAS“

Białystok, Dąbrowskiego 1
Bydgoszcz, 1 Maja 56
Czeszuchowa, 7 Kamienie 27
Gdynia, Swierzyńska 48
Gizycko, Mickiewicza 26
Kalisz, Garbarska 2
Kraków, Sławkowska 20
Lublin, Królewska 7
Łódź, Andrzeja Struga 14
Nowy Sącz, Sw. Ducha 3
Pabianice, Armii Czerwonej 27
Poznań, Kantata 10
Siedlce, Swierzeńskiego 20
Sopot, Prez. Bieruta 7
Swidnica, Nowotki 48
Tarnów, Krakowska 39
Toruń, Rynek Staromiejski 17
Warszawa, Włók 5
Warszawa, Mokotowska 43
Wrocław, Katedralna 6
Zielona Góra, Swierzeńskiego 57

Wanda Pieńkowska

Anna POGONOWSKA

Stefan LICHAŃSKI

Św. KATARZYNA i Św. JAN

Obraz szkoły sienejskiej Stefano
Di Giovanni 1392 — 1450

Lilie kwitną pod nieba złotą kopułą
Ciało Świętego Jana spaliła dusza,
Świat zgorzał do szkieletu,
By patrzeć — Święty się zmusza.

Katarzyny dziewczęcej
Wola serca napięta,
By miłość za zgon sięgła
Niby ciężka drży Święta.

W rozkwitach księżyców i słońc
Złowiony przez wieczność nasz glob.

Trzepocze, bije o sieci —
Promienne, twarde sznury
Rozdarły szczelność skóry
Krew leci. Czy dusza uleci?

SPOWIEDŹ

Każdy z nas musi dać
Życie swe — ciało — ten świat,
Zjawę piękna, krąg bólu —
Pierzchający w dal wiatr.

Niknąć jak słońce w zieleni
Pulsując światłocieniem
Łatwo. Smutku ozdoba
Uroku zgubie nie doda.

Chcę istnieć. Bieg obłoków
Wątlym słowem chcę okuć —
Śmierć — póki widzę ją jeszcze —
Odwiecznie — jak sen z oczu zetrę.

A wszystko to czymże? Niczym.
Dłonie wyciągnąć — liczyć
Grosz, który dla nędzy mej spada —
I znając wszelką wnikliwość
Snuć — jak jedwabnik nić —
miłość,
Przed nią życie spowiadać.

OBRAZKI

*

Gąszcz mgły fijołkowej
Deszcze błyskające
Wśród wyrojów liści —
Strzały słońca rączę.

Noc rozchylająca
Muzyczne powierzchnie
Uroczenie, łamliwie
Wrasta w serce przestrzeń.

*

W cytrynowych światłach liści
Wiatr się czystym źródłem łączy —
Purpurowy krzew przenika
Sztylet słońca jak muzyka.

Iskra zronu, po fioletach
Błaska dzwonna, zimna, lekka —
Nurtem biegnie śnieżna szosa
Po niej auta mkną w niebiosa.

W wierszach Anny Pogonowskiej ściera się tendencja do intelektualistycznego konstruktoryzmu w zakresie doboru i organizowania środków wyrazu z prywatnością, intymnością podstawowej wizji poetyckiej. Autorka tak ustawia każde zagadnienie, tak kształtuje materiał poetycki utworu, że w każdym z jej wierszy — niezależnie od jego tematyki — ośrodkiem kryształizacyjnym jest jakieś konkretne przeżycie. Słów tych nie należy rozumieć w sensie psychologicznym. Nie wiemy i nie możemy wiedzieć w jakim stopniu wiersze te są „szczerze“, „bezpośrednie“ jako tzw. wyraz życia duchowego poetki. Nie wiemy — i na nic nam ta wiadomość nie jest potrzebna. Jeśli mówię o konkretnym przeży-

ciu, wokół którego krystalizuje się wizja poetycka, mam na myśli nie prywatne przeżycia pani Anny Pogonowskiej z Łodzi, ale wpisana w utwór lub też przezeń sugerowaną sytuację czy postawę owego „ja lirycznego“, które obecnie jest nawet w najzupełniej z pozoru refleksyjnych czy opisowych wierszach poetki.

Nie trzeba zbyt wielkiego wysiłku, by wykryć je nawet w utworach takich jak „Obrazki“ czy „Św. Katarzyna i św. Jan“, które z punktu widzenia poetyki formalistycznej uznać by wypadało za nieosobiste. Wystarczy wyczytać się dokładniej w „Obrazki“, by dostrzec, że pozornie całkiem alogiczny film skojarzeń stanowiący ich ośnowę posiada określoną i wyraźnie uchwytną treść znaczeniową: pierwszy z tych wierszy wypowiada niezwykle intensywne pozapojęciowe przeżywanie odczucia piękna i harmonii świata, drugi zaś — transformuje poetycko moment przeżywania nastroju pełnej, tryumfalnej radości. W wierszu o „Św. Katarzynie i św. Janie“ z obrazu Stefana di Giovanni obie te postacie stają się lirycznymi „rolami“ owego poetyckiego medium, które w ich zdynamizowanym, pełnym dramatycznego napięcia przedstawieniu wypowiada własną koncepcję świętości.

„Ja liryczne“ Pogonowskiej nastawione jest na „reprivatyzację“ treści humanistycznych już zobiektywizowanych, posiadających znaczenie ponadjednostkowe. W wierszach jej odbywa się proces sprowadzania owych treści do przeżycia jednostkowego, konkretyzowania ich w realnym doznaniu określonego indywidualnego ludzkiego. Jest to dezintegracja zobiektywizowanych treści humanistycznych, rozpad ich na molekuly poszczególnych zjawisk psychicznych, egotyzyzacja ponadosobistego.

Zakres tych „reprivatyzacyjnych“ doświadczeń poetyckich jest wcale szeroki. Świadczy o tym choćby tematyka zamieszczonych obok wierszy: wiara religijna jako zasada organizująca życia („Tu zboża kwitną“), miłość i ofiara jako czynniki duchowego rozwoju człowieka („Spowiedź“), konflikt świętości i doczesności („Św. Katarzyna i św. Jan“), nieodzowność daru Łaski dla zdrowia naszej duszy („Apostrofa“), zagadnienie pokoju i wojny („W domu naszym są okna...“). Scharakteryzowana powyżej postawa pisarska Pogonowskiej decyduje o tym, że utwory te pomimo swej ponadjednostkowej tematyki stają się już nie tylko kameralne, ale wręcz intymne, prywatne.

Tę intymność swojej liryki stara się poetka kompensować intelektualizacją form wyrazu. Pod tym względem poezja Pogonowskiej stanowi przeciwieństwo tego, co przy wyjątku się rozumieć pod nazwą „poezji kobiecej“. Ani śladu minoryderyjnej kokietyryjności, żadnych „środków łączyjących“, rozliryzowanego sentymentalizmu, żadnego epatowania „bezpośrednością“, „naturalnością“ itp. Poezja ta jest właśnie — i to całkiem świadomie — bardzo opanowana i pośrednia. Ponieważ Pogonowska pisuje przeważnie utwory niewielkie rozmiarami, uważa się to za wystarzający powód, by zaliczać ją jako jedną z reprezentantek tzw. miniatury lirycznej do legionu epigonek Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Trudno wprost o większe nieporozumienie. Nastrojowy impresjonizm poetyckich bibelotków a utorki „Surowego jedwabiu“ ryma ma nic wspólnego z intelektualistycznym konstruktoryzmem Pogonowskiej.

Konstruktoryzizm ten charakteryzuje dążenie do maksymalnej lapidarności, do bezwzględnej eliminacji motywów czysto zdobniczych, wyłącznie opisowych. Starając się o jak największą kondensację wyrazu operuje poetka w bardzo szerokim zakresie elipsą i aluzją. Rola elipsy nie ogranicza się do kwestii czysto składniowych; techniką eliptyczną posługuje się Pogonowska również w konstrukcji całości usuwając z wierszy człony łączące, partie przejściowe, które mogłyby łagodzić ostrość kontrastów i aforystyczną lapidarną point, jak również rezygnując z „gruntowania tła“, cieniowania efektów, potęgowania nastrojów. Ta szeroko zakreślona rola elipsy sugeruje ideał poetyckiej składni antyretorycznej, bezozdobnej, zmierzającej ku złańniu będącemu tylko surową konstatacją, aczkolwiek konstatacją poetycką: metaforyczną.

Tak jak składnią i konstrukcją rządzi u Pogonowskiej zasada budowy eliptycznej, tak znów budowę obrazu i organizację struktury zagadnieniowej wyznacza zasada poprzestawiania na aluzji. Poetka jakby się lekając „uziemienia“, od poetyzowania wizji przez wypowiedzenie jej przy pomocy realistycznej techniki przedstawienia, pozostaje przy zarysowywaniu najbardziej nieodzownych konturów obrazu, przy zaznaczaniu najbardziej podstawowych, zasadniczych elementów poruszanego zagadnienia.

Rezultatem stosowania tej techniki eliptyczno aluzyjnej jest zanik elementu wizualnego w wierszach Pogonowskiej. Jej metafora oparta jest na zestawieniach pojęć; element obrazowy gra tu rolę zgoła podrzędną i pomocniczą. Występuje on albo jako „aluzja obrazowa“ zaznaczająca tylko możliwość obrazu („Masyw gruszy tkany błękitami powietrza — owity falami, chmur...“), albo — co zdarza się daleko częściej — jako „obraz pozorny“ (Nicość w nas się jak skrzydło pręży“), najzupełniej nieuchwytny wizualnie i adresowany do naszego intelektu, a nie do wrażliwości i wyobraźni.

Ta koncepcja wyrazu poetyckiego, realizowana z imponującą konsekwencją, jest cenna i ważna jako przeciwstawiająca się częstemu w naszej poezji emocjonalizmowi. Jest ona jednak wyłącznie zasadą organizującą formy warsztatowej, technicznej. Działanie tej zasady nie obejmuje samego formowania się podstawowej koncepcji utworu i transformacji owej koncepcji w wizję poetycką. Intelektualizm „obróbki“ wykonania potraktowany zostaje jako czynnik obiektywizujący tę właśnie wizję wyjściową, kompensujący jej prywatność i doraźność. Forma staje się w tym wypadku nie wyrazem treści, nie jej artystycznym dokonaniem, wypełnieniem, ale uzasadnieniem i gwarancją tej treści, spadającej wobec tego do roli wyłącznie tematycznego pretekstu i tworzywa dla budowania samowystarczalnego układu elementów estetycznych. Pogonowska ciągle jeszcze pozostaje w kręgu poetyckiego eksperymentatorstwa. Prezentuje raz po raz swoje narzędzia, każde podziwiać ich precyzyjność i swoją umiejętność posługiwania się nimi. Jest przede wszystkim artystką słowa, czystej krwi literatką.

Żyjąc ciągle jeszcze pod sugestią poezji wieszczkiej, poezji wielkich, ogólnonarodowych i ogólnoludzkich zagadnień, skłonni jeste-

my przeceniać tzw. „treść“ na niekorzyść tzw. „formy“, zapominając o tym, że podział ten jest w gruncie rzeczy hipotezą roboczą, której przydatność zakwestionowano zresztą dość dawno, jak również o tym, w jakim stopniu właśnie nie wieszczom zawdzięczamy wydoskonalenie i unowocześnienie środków wyrazu poetyckiego. Poezja Pogonowskiej przypomina rolę i znaczenie elementu konstrukcyjnego w liryce, konieczność maksymalnej intelektualizacji warsztatowej pracy artysty. Pod tym względem Pogonowska reprezentuje odwrót od „żywiowości“, „bezpośredności“, grania na wzruszeniach do surowej reguły świadomego rzemiosła poetyckiego.

Liryka Pogonowskiej nie osiągnęła jeszcze fazy ostatecznej kry-

talizacji. Dlatego też patrzeć należy na te wiersze przede wszystkim z punktu widzenia zaznaczających się w nich tendencji rozwojowych. Poetka stale pozostaje w kręgu zagadnień najbardziej istotnych dla teocentrycznego humanizmu chrześcijańskiego. Zagadnienia te są dotychczas przeważnie tylko tematami jej wierszy, jak to już zaznaczyliśmy powyżej, ale sam fakt wejścia w krąg tej problematyki świadczy wymownie o tym, jaki świat pojęć i uczuć jest autorce najbliższy. Fakt ten pozwala żywić nadzieję, że piękne zapowiedzi nie będą ostatnim słowem poetki i że nastąpią po nich utwory jeszcze piękniejsze i dojrzałe, będące spełnieniem tych zapowiedzi.

Stefan Lichański

Anna POGONOWSKA

TU ZBOŻA KWITNĄ

Tu zboża kwitną. Masyw gruszy tkany
Błękitami powietrza — owity falami
Pól, chmur — przyciąga jak niegdyś me kroki.
Tu — konwulsje materii — srebrnieją jak bogi
Starożytne. Niebiosa rozłożyły skrzydła
Chwila wiecznością ostygła.

Tu jest lazur powrotu. Pokój osi wiru.
Promień zenitu i nadiru.
Prześwietlona — w mijaniu — stworzone istnienia
Dzieci mych zbroję ciszą Bożego ramienia.
Wiatr dzwoni. Złoci główki podniesienie światła
A chaber horyzontu na grzbietach fal wzlata.

MŁODOŚĆ

Gdy całowałam różę, młodością jak ogniem
Przejęta, pod lazurem stwardniałym od piękna,
Gdy wiatr w liściach zielonych, zielonych jak ogień,
Głosem srebrnym mnie wołał, falą srebrną kłękał.

Pod słońcem — słonecznikiem żółtym, wśród czerwieni
Maków, nad łopianami, zaplątana w ciernie,
Uniesiona jak tęcza, łuk światła i wody —
Płonęłam od łez ostrych, szczęśliwa niezmiernie.

APOSTROFA

Który dopuszczasz do naszej nędzy,
Ze nicość w nas się jak skrzydło pręży,
W sklepieniu serca mego i czoła
Zstąp jak w kamienie kościoła.

*

*

*

W domu naszym są okna wzlatające w niebo,
Niżej drzewa kołyszą tchnienia pączkowania,
Dziecko moje obłoki rączkami pogania,
Śpiewa powietrza srebro.

Wiem — nad łądem dalekim
Krackania ludzkiego stada.
Czerń uskrzydłona spada
Świtu gościńcem srebrnym.

Miecz zła i dobra miecz — zabija —
Miecz na to mieczem jest.
Ciało też musi leć,
Lecz zło i dobro żyją.

Ale obłokiem bzu, pluskiem księżycy w wodzie,
Pezczołą świeciłą burz, radością której pragniemy,
Prosimy — osłoń nas, zachowaj gniazda nam —
Wybujaj liściem bujnym, pochłoń niebieskim cieniem.

W ubiegłym roku zbliżyliśmy się bardziej niż kiedykolwiek do radzieckiego teatru. Filmowane przedstawienia teatralne, które ujrzała np. publiczność warszawska, przedstawienia „Żywego trupa“ L. Tołstoja, „Prawda dobra, szczęście lepsze“ i „Trafiła kosa na kamień“ Ostrowskiego, „Szkoły obmowy“ She ridana, „Psa ogrodnika“ Lope de Vegi — zapoznaliśmy nas z wysoką sztuką sceniczną takich świetnych radzieckich teatrów jak leningra-



L. Smyszlajewa w roli Niny w sztuce M. Lermontowa „Maskarada“.
fot. C.A.F.

dzki im. Puszkina czy moskiewskie: Mały, Mchat, Centralny Armii Radzieckiej. Były to dla widza polskiego wielkie artystyczne przeżycia. Oczywiście, teatr odtwarzany na ekranie nie mógł zastąpić bezpośredniego zetknięcia z żywym artystą na prawdziwej scenie. Na szczęście nie zabrakło i tego tradycyjnego już rodzaju kontaktu. Do teatrów Obrazcewa, Ochłopkowa, Ukraińskiego im. Franki, Leningradzkiego, które w poprzednich latach zaprezentowały się polskiej publiczności, doszła teraz znajomość z Teatrem im. Mossowietu. I znowu jest to znajomość, która skłania do szacunku.

Z BIOGRAFII TEATRU

NIEZWYKŁE były dzieje Teatru im. Mossowietu. W r. 1923, wśród panowania na scenach radzieckich z jednej strony klasyki, z drugiej teatralnego formalizmu, powstaje przy Moskiewskiej Radzie Związków Zawodowych rodzaj teatralnego studia, na pół ochotniczego, studia, którym obok działaczy teatralnych zajmują się i sami robotnicy. W salj dawnego kabaretu tworzy się zespół młody i pionierski, pragnący nadać za tokiem przemian społecznych, poświęcić się współczesnej tematyce bohater-skich walk Rewolucji i budownictwa socjalizmu. Początkowo teatr ten jest przede wszystkim teatrem obywatelskim, odwiedza ośrodki pracy, kluby robotnicze. Dopiero stopniowo ugruntowuje swe podstawy i przybiera imię historycznej Moskiewskiej Rady Delegatów Pracujących. Pierwszym kierownikiem artystycznym Teatru jest Lubimow-Łanskoj.

Zaczyna się teraz pasjonująca karia artystyczna zespołu, który to ruje drogę nowej dramaturgii i przyspiesza dojrzewanie nowego życia. Przypada mu w udziale zapoczątkowanie w r. 1925 prapremierą „Sztormu“ Billa Bielocerkowskiego wielkiego przełomu, narodzin klasycznego już dziś okresu roman tyki rewolucyjnej w dramaturgii radzieckiej. Po „Sztormie“ idą „Bun“ (1927) i „Czapajew“ (1930) wg powieści Furmanowa. Teatr Mossowietu zapoczątkowuje też tematykę jeszcze bardziej współczesną, tematykę pierwszych zrywów gospodarczych młodego socjalistycznego państwa. Inicjuje ją „Cement“ Gładkwa. Potrafi odpowiadać improwizacją na apel chwili, jak np. sztuką Afigenowa „Salut, Hiszpanio“ na wypadki hiszpańskie. Romantyczny, rewolucyjny zapał staje się hasłem przewodnim jego poczynań.

Rok 1940 stanowi nowy poważny etap w rozwoju Teatru. Kierownictwo artystyczne obejmuje teraz wychowanek Mchatu, uczeń Stanisławskiego i Wachtangowa, Jurij Zawadskij. Wraz z nim przejdą do Teatru wykształceni pod jego kierunkiem tacy znakomici artyści, jak Marecka, Mordwinow, Platt, Abdułow. Z młodością i entuzjazmem, z pionierską tematyką łączą się teraz tradycja teatralna i wielka kultura artystycznej formy. Pod kierunkiem Zawadskiego Teatr im. Mossowietu wystawia podczas II Wojny Światowej takie widowiska jak „Rosjanie“ Simonowa, „Front“ Korniejczuka, „Najazd“ Leonowa, a po wojnie sztuki o pokojowej problematyce współczesnej, Sofronowa „W pewnym mieście“, Szejna „Sąd honorowy“, Simonowa „Zagadnienie rosyjskie“, Surowa „Krzywdy“ i „Świt nad Moskwą“ — za inscenizację dwóch ostatnich sztuk Teatr odznaczony zostaje nagrodą Stalinską.

Pod auspicjami Zawadskiego rozszerza się też repertuar klasyczny Teatru. Reprezentuje go obok szeregu sztuk Ostrowskiego „Maskarada“ Lermontowa, „Synalek szlachecki“ Fonwizina, „Magazyn mód“ Kryłowa, „Oberżystka“ i „Dziwne zdarzenie“ Goldoniego, wreszcie grany od r. 1944 na scenie Teatru „Otello“ Szekspira. Z dramaturgii Gorkiego do granych w latach trzydziestych „Wrogów“ dojdzie wkrótce nie wystawiana dotąd sztuka „Somow i inni“.

Z dumą mógł zespół Teatru patrzeć w r. 1948 na dzieło minionych 25 lat swego istnienia. Przyznany mu Order Czerwonego Sztandaru Pracy potwierdził osiągnięcia tych lat.

PRZED WSZYSTKIM AKTOR

OBLICZE artystyczne Teatru im. Mossowietu wyznacza niewątpliwie w bardzo wysokim stopniu osobowość twórcza jego kierownika artystycznego i głównego reżysera, Jurija Zawadskiego. Jego artystyzm zadziwia wszechstronnością i harmonią elementów. Na jego pojęciach o teatrze nie mogła przecie-

„STEFAN CZARNIECKI I JEGO ŻOŁNIERZE

NADZIEJE związane z nowym kierownictwem artystycznym Teatru Domu Wojska Polskiego, zdają się sprawdzać. Tarn nie tylko wciągnął do repertuaru nową wartościową sztukę współczesnego autora, lecz pozyskując do współpracy zdolnego reżysera i znanego scenografa, doprowadził do przedstawienia na lepszym niż dotąd poziomie artystycznym.

„Stefan Czarniecki i jego żołnierze“ (podtytuł: „Najazd“) Kazimierza Korcellego jest sztuką związaną, żywą, trafiającą w istotne problemy dziejowe przedstawianej epoki. Stawiano Korcellemu zarzut, że jego chłopski bohater nie jest w sztuce postacią przerzuczoną. Zarzut niesłuszny. Korcelli dbał po prostu o zachowanie prawdziwych proporcji historycznych. Głównymi sprawami są u niego walka Czarnieckiego z najazdem i konflikt jego jako przedstawiciela masy szlacheckiej z magnaterią. Na tym tle pojawia się dopiero problem chłopstwa, które Czarniecki — i tę jego zasługę i postępowe znaczenie Korcelli ujawnia — na wielką skalę wciągał do ówczesnego narodowego frontu walki. Chłopswo występuje tu we wszystkich czterech aktach, lecz niejako w tle akcji, a jednostkowy bohater prze-wija się przez nią w sposób dyskretny, choć ważny, wysuwając się na plan bliższy dopiero wraz ze swoim awansem oficerskim. Jako były zbiegły poddany i buntownik staje się Jarząbek, bohaterski partyzant, przedmiotem istotnego konfliktu, który nabrzmiewając przez całą sztukę wybuchną gwałtownie w jej zakończeniu, konfliktu między in-

Edmund MISIOŁEK

nie zaważył przeszłość aktorska. Zawadskij zaczął pracę artystyczną w r. 1916 jako aktor. W studium Wachtangowa występował w roli Kalafa w „Księżniczce Turandot“ i św. Antoniego w „Cudzie św. Antoniego“. W Teatrze Artystycznym (Mchat) grał m. in. rolę Czackiego w „Mądremu biada“ i Almagvira w „Weselu Figara“. Ta praca aktorska, i to, jak widzimy, w rolach dużych, uświadomiła Zawadskiemu podstawowe znaczenie aktora i jego gry w całości twórczości teatralnej. Teatr Mossowietu wykazujący niezwykłą troskę o muzykę, plastykę i inne pozaaktorskie środki wyrazu, stał się mimo to przede wszystkim teatrem aktora. I teatr ten wykształcił też wyjątkowo zespół artystów-odtwórców.

Teatr im. Mossowietu nie boi się bohatera monumentalnego, postaci ukazywanych w wielkich wymiarach, monumentalnych nawet w geście. Takim jest w swych rolach Mikołaj Mordwinow, twórca niezwykle wyrazisty o imponującym, dramatycznym głosie, po mistrzowsku posługujący się pauzą. Jego Arbiennin w „Maskaradzie“ to dumny samotnik romantyczny, szlachetny, choć nie idealizowany, który przed małością otaczającej rzeczywistości usunął się ku życiu rodzinnemu, lecz i tu przed nią nie ujdzie. Mordwinow ukazał w tej roli znakomite przejście od dobrodusznego męża do bezlitosnego mściciela swego pojęcia o życiu. Niezwykła inteligencja i subtelny umiar, porywający dramatyzm i liryzm — to główne cechy gry Mordwinowa*).

Nieco mniej monumentalności, ale nie mniej wdzięku, humoru, a do tego jeszcze i młodości użył

* Utrzymujący się jeszcze nadal chaos w rozprowadzaniu biletów na występy zagraniczne uniemożliwił nam udział, a więc i danie oceny występów gości moskiewskich w „Otello“. „Świecie nad Moskwą“, „Dziwnym zdarzeniu“.

terem klasowym uosobionym przez jego dawnego pana feudalnego a interesem narodowym, który reprezentuje wódz walki wyzwolenczej, Czarniecki.

Sztuka Korcellego właściwie bez wątku ściśle osobistego (wątek miłosny zamarkowany i urwany), o kompozycji swobodnej, niemal impresyjnej, posiada mimo to jedność nastroju i naturalny aktualizm wypływający z historycznie analogicznego rytmu życia klasy wstecznej i postępowej: pierwsza z nich staje się zaborcą, ucieka przed agresorem lub z nim kolaboruje, podczas gdy na klasę uciskaną przechodzi stopniowo coraz większa odpowiedzialność za życie narodu. Warto zwrócić uwagę na szczególne roboty dramaturgiczne Korcellego. Dostrzeże się wtedy jego świetny dialog, humor, pomysłowość w tworzeniu sytuacji scenicznych, zwłaszcza punkt poszczególnych scen i aktów, ponadto zaś swobodny romantyczny nastrój jego dramatu historycznego.

Te wartości sztuki uwydatniła czujna i pomysłowa reżyseria Ludwika René, wspierana przez do brze dostosowaną do charakteru poszczególnych aktów kompozycję plastyczną Jana Kosińskiego i kostiumy Andrzeja Cybulskiego, podobnie jak i przez efekty dźwiękowe (dzwony, wystrzały armatnie itp.) oraz muzykę Tomasza Kiesewettera, której było może nieco za dużo i zbyt głośnej. Uderzało w dekoracji I aktu interesujące rozwiązanie horyzontu nocnego, którego ciemności rozświetlały pochodnie świty uchodzącego z kraju króla oraz luncy pożarów. Budziły natomiast pewne zastrzeżenia zbyt jasne, operetkowe kolory namio-

O sztuce scenicznej

swjej roli „Obywatela Francji“ w sztuce Chrabrowickiego o Jolocie Curie R. Platt. Był młodzińczy w geście, a zarazem pełen powagi w swym pojęciu o roli uczonego, niezwykle szczęśliwie przechodził z jednego nastroju w drugi dając rolę pełną polotu, niezależnie od znakomicie utrzymanego podobieństwa zewnętrznego. W „Maskaradzie“ jako Kazarin Platt umiał stworzyć postać całkowicie odmienną, osobliwego cynicznego, „światowego“ moralisty. Niezapomniany zaś stał się dla polskich widzów w „Sztormie“ jako stary rewolucyjny inteligent-internacjonalista Rajewicz. Było w tej roli trochę stylizacji bardzo subtelnej, a śpiew „Marsylianki“ w gorączce należał do scen najbardziej wzruszających wśród występów „Mossowietu“.



Scena z I aktu „Maskarady“ M. Lermontowa w wykonaniu Teatru im. Mossowietu. Z prawej Mikołaj Mordwinow w roli Arbiennina
fot. C.A.F.

Naturalność, doprowadzona zdawałoby się do szczytu możliwości, to dominanta gry P. Gieragi, niezapomnianego odtwórcy roli powołanego przewodniczącego partii w „Sztormie“. Ten przedstawiciel

starszego pokolenia, dawny robotnik i długoletni aktor prowincjonalny, obcy jest wszelkim sztuczkom, wyraża samą, nawet w najdrobniejszym szczególe niezakłamaną, prawdę życia. Stwarza postać skupioną, mądrą, pełną zrozumienia ludzkich spraw.

Osip Abdułow zadziwiał szeroką skalą oraz umiejętnością łączenia, nawet w jednej roli, cech zdawałoby się sprzecznych. Ten komediowy przede wszystkim artysta zarysował w „Sztormie“ wspaniałą postać negatywną maskującego się błogwardzisty. Jego Bogomołow jest surowym służbistą, pełnym pryncypialności i energii. Ten wróg jest poważny, groźny, inteligentny; nawet przychwycony broni się z zimną bezczelnością, aby nawet i w tej sytuacji uczynić się nagle po-

Andrzej ODNOWA

tu króla szwedzkiego w II akcie, również nadmiernie odbijała od reszty zespołu i w kostiumie, i w stylu gry, zbyt farsowo i satyrycznie ujęta, zresztą szczerze komiczna, postać Podsejda (Janusz Paluszkiwicz). W reżyserii René wybił jako leitmotiv słowo „Czarniecki“, przyjmujące w ustach Karola Gustawa coraz to nowe brzmienie, od podziwu do wściekłości zawiedzionego faszysty tamtych czasów. Myśl reżyserka przebiegała w wielu znaczących drobiazgach jak np. w owym stracienu przez Czarnieckiego pergaminu, dowodu praw pana do Jarząbka. René świadomie, w duchu wielkiego widowiska, w stylu jakby nieco operowym, kształtował dynamikę poszczególnych aktów

Wpływ reżysera, a na pewno i współudział Wojciecha Brydzińskiego zaznaczył się w poziomie wykonania aktorskiego. Obok znanej w swej niepowtarzalnej odrębności gry Brydzińskiego w roli Czarnieckiego, gry pełnej wewnętrznie odczutego patosu, zanotować trzeba Stefana Wronckiego, dublującego tę rolę, trochę mu obcą, lecz której mimo to podobał, przede wszystkim zaś Saturnina Butkiewicz, która opracowała niezwykle pięciocławicę swój występ w roli pełnego wahań zdrajcy netmana Koniępczkiego. Zwolnione tempo tej roli, liczne pauzy podkreślały jak gdyby z upiorną wyrazistością zradę magnata, jego czarną duszę miotaną sprzecznymi uczuciami. W głosie doskonale zróżnicowanym,

Z teatrów

geście, mimice stworzył Butkiewicz postać, którą się zapamięta. Zespół nie był zresztą całkiem równy. Stosunek dostojnika kościelnego, pełnego namaszczenia biskupa Gembickiego (dobrze grał go Mieczysław Pawlikowski) do dostojnika świeckiego, dziwnie tu hamletycznego i uległego kanclerza Korycińskiego (Józef Kondrat) nie wydawał się uzasadniony historycznie. Niedobre momenty miał tym razem w roli Steina zbyt ostentacyjny Jerzy Pichelski, ksiądz (Eugeniusz Dziekoński), dziwnie szary, blade, przypominając raczej pustelnika niż plebana — tu co prawda zawinił już sam autor. W odtwarzaniu postaci chłopów trochę było jeszcze tu i ówdzie złej manieri młodzieńczo-inteligenckiej, choć były i momenty prawdziwie piękne.

Ciekawe, żywe ujęcie całości przesłoniło jednak błędy wykonania, a uwydatniło aktorskie osiągnięcia. W sumie było to przedstawienie przeciwieństwem historycznego nudziarstwa i poważnym krokiem naprzód Teatru wojskowego.

„PUŁKOWNIK FOSTER PRZYJMAJE SIĘ DO WINY“

PREMIERA warszawska „Pułkownika Fostera“ Roger Vaillanda zbiegła się z nowymi komentarzami, jakie poświęcił swej sztuce autor (wypowiedź w „Nowej Kulturze“ pt. „Czy pułk Foster jest uczciwym człowiekiem?“ oraz uwagi w programie teatralnym). Wyływały one z nowego, opartego

nej „Mossowietu”

Almé jest jednocześnie zabawny i wzruszający — szczęśliwe połączenie tych cech samo stanowi miarę artystycznego osiągnięcia.

Niewiele ustępowały odtwórcom ról męskich artystki „Mossowietu”. Marecka i Raniewska znane już są polskiej publiczności z filmów *Wiera Marecka*, odtwórczyni ról Porskromionej Złoźnicy Szekspira, Otradyny z „Grzeszników bez winy” Ostrowskiego, Mirandoliny, Maszeńki, wystąpiła w „Maskaradzie” w roli baronowej Strahl. Była prawdziwą wielką damą i zarazem świetnie zagrana intrygantką. Wiele ekspresji miała w scenie w mieszkaniu Księcia, w jej odejściu był powiew wielkiego dramatu *Faina Raniewska* jako spekulanka-drobnomieszczanka w „Sztormie” dała w scenie przesłuchania popis gry charakterystyczno-komediowej wyrazistej i celnej. Bogactwo przejść z odcienia w odcień, w modulacji głosu, mimice, geście, było tu zadziwiające.

Tyż kilka sylwetek nie może dać pełnego pojęcia o bogactwie indywidualności aktorskich i kulturze gry zespołu. Trzeba by jeszcze przynajmniej wspomnieć Borysą Olenina (Nieznajomy w „Maskaradzie”), G. Sławiniaka (Marynarz w „Sztormie”), G. Ławrowa (Sprich w „Maskaradzie”), M. Rosen-Sanina (Gross w „Obywatelu Francji”) Ibragimow w „Sztormie”), M. Tremjakowa (Smile w „Obywatelu Francji”), L. Smyszlajewą (Nina w „Maskaradzie”). Były oczywiście i postacie słabiej zarysowane, czasem przerysowane lub fałszywie ujęte. Zaliczyłbym do nich niewyraźną postać Bob Pearsona w „Obywatelu Francji” i nieco bladą Księżniczkę w „Maskaradzie” (Michajłow), za mało ważką postać przedstawiciela Biura Politycznego w „Obywatelu Francji” (Ławrow) i w tej sztuce przesadnie karyka-

turalnego Gestapowca w wykonaniu Żubowa.

Co cechuje niemal bez wyjątku grę aktorską w Teatrze im. Mossowietu? Przede wszystkim chyba przemyślenie roli i umiejętność utrzymania do końca przyjętej koncepcji postaci. Konsekwencja i dyscyplina artystyczna jest pod tym względem w „Mossowiecie” idealna. Jego aktorzy zespala się z odtwarzanymi postaciami bardzo ściśle, grają „wnętrzem”, nie nadużywają nigdy środków zewnętrznych, techniki aktorskiej. Odpowiedzialność artystyczna i wysoka, dyskretna kultura sceniczną łączą się u nich w jedno. Wszystkie powyższe cechy uczyniły z występów „Mossowietu” w Polsce znakomitą lekcję sztuki aktorskiej dla artystów naszych scen.

INSCENIZACJA I REŻYSERIA, MUZYKA I PLASTYKA W SŁUŻBIE SPEKTAKLU

CHLUBNA, rewolucyjna przeszłość Teatru im. Mossowietu i jego ideaowa żarliwość, a z drugiej strony jego doborowy skład aktorski stanowią znakomite przesłanki dla najcenniejszych osiągnięć artystycznych. Trzeci, dopełniający element stanowi kierownictwo artystyczne Jurija Zawadzkiego, którego indywidualność twórcza wyściska silnie piętno na wszystkich spektaklach.

Zawadzki ma piękną przeszłość artystyczną i rozwinął w niej bardzo silną świadomość sceniczną formy. Jako twórca studium z roku 1924, przekształconego następnie (1927) w osobny, regularny teatr, Zawadzki ściągał na siebie zgoła zarzut pewnego prerafinowania, stylizacji, nadmiernej groteskowości. Te formalistyczne przesady przejawiały się — jak stwierdza to radziecka krytyka — szczególnie w takich pracach, jak „Nie igra

się z miłością” Musseta, „Wilki i owce” Ostrowskiego, „Uczeń diabła” Shawa. Stopniowo wzmacniały się w inscenizacjach tendencje realistyczne i dążenie do wewnętrznej prawdy, podczas gdy wysoka kultura formy pozwalała ujmować obrazy sceniczne w precyzyjne sytuacje o dużej wyrazistości. Wszystkie elementy widowiska: gra aktorska, reżyseria, oprawa scenograficzna, muzyka, światło współdziałały teraz ze sobą w dziełach Zawadzkiego zapewniając im jedność i harmonię. Tak powstały utwory, które przyniosły reżyserowi nagrodę Stalinowską: „Spotkanie w mroku” F. Khorre, „Najazd” Leonowa i „Otello” Szekspira.

Przyjrzyjmy się np. inscenizacji utworu klasyki rosyjskiej, „Maskaradzie” Lermontowa w reżyserii Zawadzkiego i I. Anisimowej-Wulf. Reżyserzy korzystali niewątpliwie z bogatej tradycji odtwórczej teatru rosyjskiego, stąd przede wszystkim wrażenie wielkiej kultury całości, pewnej nawet akademickości i koturnowości, nieodłącznej od wielkiej, pieczołowicie odtwarzanej klasyki. Ale jakże czysty, szlachetny jest rysunek sceniczny. Jaka dyskretna artystyczna wyraz, jak zespołowe ujęcie gry, niezawodność kontaktu, jak harmonijny rytm całego przedstawienia. Lecz na tym nie jest miejsce i na pełne wygranie wielkiej roli solowej znakomitego aktora. Koncepcja całości, zeszkolona w roli Mordwinowa, wytrzymała do końca, spięcia dramatyczne rozegrane w sposób przemysłany i nieskazitelny. Wiersz mówiony jest z pietyzmem, może aż nieco rozciągany, celebrowany, ale poezja nigdy tu nie przepada. Podnosi ją i uwydatnia muzyka A. Czaczaturiana. Nieco hałaśliwa przed podniesieniem kurtyny, staje się potem, zwłaszcza w końcowych scenach balowych dyskretna i pełna

nastroju (np. w znanym walcu), a by przejść w zakończeniu niczym w „Symfonii fantastycznej” w pełen grozy motyw „Dies irae”. Scenografia B. Wołkowa wydobywa wiernie tło epoki, a zarazem zmagając nastroj poszczególnych scen. Efekty świetlne, właściwe proporcje światła i cienia, czy to w scenie gry w karty, czy w rozjarzonej świecami sali balowej, czy w powrocie z balu (ogień kominka), czy wrsz-

kameralne. Obrazy spektaklu były żywe, ostre, był w nich żar rewolucyjny. Być może reżyserzy wzięli zbyt wcześnie, niemal od samego początku, forte i w pewnym stopniu zabrakło już oddechu na sceny końcowe — po prostu nie można już było zwiększać napięcia. Bojowa muzyka pieśni rewolucyjnych (J. Biriukow) zmagająca nastroj działań na scenie, a oprawa plastyczna M. Winogradowa, oszczędna



Scena ze sztuki Billa-Bielocerkowskiego „Sztorm” w wykonaniu Teatru im. Mossowietu. Od lewej (stoją) R. Platt (Rajewicz) G. Sławiniak (Marynarz) P. Gieraga (Przewodniczący) fot. C.A.F.

cie w mieszkaniu Księcia zawsze doskonale podkreślają sytuację w połączeniu z bardzo przemyślanym ugrupowaniem postaci na scenie. Poszczególne elementy reżyserii nie są nigdy celem dla siebie, zawsze tylko służą prawdzie i nastrojowi całości. W sumie była to piękna inscenizacja klasycznego, poetyckiego dramatu.

O ile „Maskarada” była triumfem poezji, „Sztorm” Billa-Bielocerkowskiego to wielkie zwycięstwo prawdy życia i rewolucyjnego bohaterstwa. Reżyserowany przez Zawadzkiego i E. Stradomska ten utwór młodej klasyki radzieckiej miał i szeroki oddech historii, z jej romantycznym patosem scen zbiorowych (np. zebranie, agitacja w koszarach) i bardzo starannie opracowane psychologicznie sceny

i celowa, zwięzła i wymowna, przez swą spartańską prostotę na tle architektury wnętrza byłego pałacu dobrze triafiała w prawdę chwili dziejowej i tylko czerwone draperie, na które była rzutowana, jak i wstępny efekt plastyczny, z napisem „za władzę radziecką” na tle kurtyny, sugerowały szeroką perspektywę historyczną owej prostoty. Sceny „Sztormu” były wielkim triumfem z jednej strony zespołowości, z drugiej zaś — gry charakterystycznej, bogactwo doskonałe w tym duchu zagranich postaci było tu niezwykłe. Postacie te miały swoje własne na wskroś swoje życie, lecz zarazem idealnie włączały się w organizm całości, w życie potężnej maszyny teatralnej, która nie zawiodła.

W tej samej reżyserii co „Sztorm” wystawiono jedną z najmłodszych sztuk radzieckich, „Obywatela Francji” A. Chrabrowickiego. I dramaturgicznie i inscenizacyjnie była to interesująca próba zastosowania estetyki sztuk kręgu rewolucyjnego romantyzmu do najnowszych sztuk współczesnych. Próba w wysokim stopniu udana. Reżyserzy uzyskali i tu swoistą społeczno-polityczną romantykę, choć bardziej w kategoriach wielkiego i żywego, prawie sensacyjnego reportażu scenicznego aniżeli monumentalnego widowiska. Dali bogate ujęcie sceniczne, wyciskując i efekty filmowe i akustyczne, w typie radiowym. Interesującym pomysłem było również przeniesienie przemówienia z trybuny Terry-Joliota przed kurtynę. I w tym przedstawieniu treść ideaowa sztuki: walka wielkiego uczonego o pokojową twórczą rolę nauki przemówiła ze sceny swą prawdą.

Oto pobieżnie skreślona sylwetka jednego radzieckiego teatru, krótki rys historyczny z przegłędem indywidualności artystycznych i kilku pokazanych nam w Polsce inscenizacji. Lecz już i to wystarczy, aby utrwalić w nas szacunek dla Teatru im. Mossowietu. A równocześnie nasunąć pytanie: czemu zawdzięczają nasi niedawni goście wyniki swej pracy? Wyjaśnia się je często wielką tradycją rosyjskiego teatru, nadzwyczajną teatralnością widowni rosyjskiej. Jest to wyjaśnienie zbyt łatwe. Wydaje się, że obok tradycji mamy w teatrach radzieckich przede wszystkim do czynienia z uśmiętną pracą. Pracą pełną zapału i dyscyplinowania oraz wielkiej, społecznie pojętej artystycznej odpowiedzialności. I może to jest najważniejsze i najprawdziwiej wyjaśnia źródło radzieckich sukcesów w sztuce sceniczej.

Edmund Misiołek

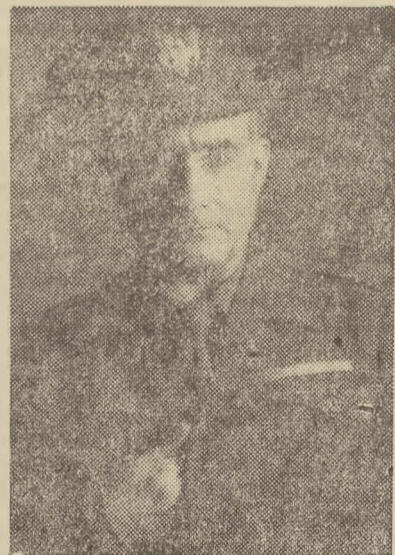
warszawskich

na nowych doświadczeniach i ostrzejszego spojrzenia. Konsekwentnie Vaillanda nie obchodzi sumie nie Fostera, interesuje jedynie — ponieważ człowiek pozostaje tym, co czyni — jego obiektywną winą.

W tym kierunku poprowadził też w Teatrze Kameralnym własną koncepcję reżyserską Władysław Krasnowiecki. W roli Fostera nie przejawiała się tu walka dobrego ze złem ani nawet wahanie sumienia. Postać ta, w tym ujęciu konsekwentnie i plastycznie odtworzona przez Jana Kreczmarę, przedstawiała się jak monolit zakłamania i obłądy, którą wypadki dopiero coraz jawniej odsłaniają. Odpowiednio przedstawieniu uległ stosunek Lyl do Pułkownika, choć ostatni ich kontakt nawet w tym ujęciu wypadł nieprzekonywająco. W Lyl — grała ją Justyna Karpińska-Kreczmarowa — narasta coraz gwałtowniej nienawiść do zarozumiałego okupanta i obłudnego uwodziciela, a by w końcowym zdemaskowaniu go przed partyzantami ustąpić nie uzasadnionemu tonowi żalu i litości. Warszawska odtwórczyni Lyl ustępowała niezapomnianej Loleh Bellon mniejszą sugestią orientacyjności, nie oddała też z równą dyskretnością nieprzeniknionego charakteru swej podwójnej roli. Maciej Maciejewski jako bohaterски jeniec komunista Masan był mniej posągowy, bardziej realistyczny, był bardziej proletariuszem niż Charpak, lecz nie wygrał też, podobnie

jak i Karpińska, momentów poetyckich (śpiew przed rozstrzelaniem).

Znakomitą kreacją był kapitalista koreański w wykonaniu Gustawa Buszyńskiego, który z bogatego rejestru swych środków aktorskich wydobyl nowe formy wyrazu. Interesująco, realistycznie interpretowana postać chrześcijaninapacyfisty sierż. Paganela (Alfred Łodziński) wiele straciła na nadmiernej już brzydkiej charakterystyzacji. Wienczysław Gliński w roli porucznika-faszysty dał tej postaci ciekawe cechy kontrastowe, ale nie był to chyba Amerykanin. Zna



Jan Kreczmar w roli tytułowej w sztuce R. Vaillanda „Pułkownik Foster przynajmniej się do winy”. fot. C.O.P.A.

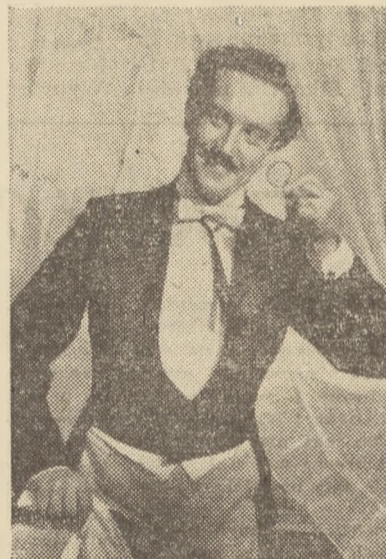
komitą postać koreańskiego przywódcy partyzantów stworzył za to w końcowym epizodzie Władysław Janek.

Niezwykle oszczędna zwarta dekoracja Zenobiusza Strzeleckiego do skonałe przylegała do koncepcji klasycznej tragedii, której tu nie przeprowadzono. W przeciwieństwie do nieco idealizującego, deklamacyjnego, ale bardzo jednolitego przedstawienia Paryżan, przedstawienie w Teatrze Kameralnym, mniej wyrównane, posiadało przecież cechę realizmu, i to realizmu ściśle teatralnego, bez odcienia stylu filmowego. Zarazem jednak było w nim i mniej szlachetności, mniej błyskotliwości, mniej poezji.

„RADCY PANA RADCY”

Można się spierać co do celowości wystawienia tej pierwszej (z 1867), bladej i niezbyt wybrednej, choć wcale scenicznego komedijki Bałuckiego. W każdym razie jednak reżyseria znakomitego artysty Jerzego Leszczyńskiego niewiele wyszła poza styl farsowy, w jakim grano Bałuckiego za jego czasów i później jeszcze, w okresie międzywojennym. Nie wydobyła w pełni tej realistycznej treści społecznej, którą komedia Bałuckiego mimo wszystko zawiera.

Z obsady lepiej wypadły kobiety, przede wszystkim Barbara Kościuszanka w roli pretensjonalnej żony radcy, Alina Żeliska, interesująca i niebanalna jako stara panna Eufrozyna, Janina Szydłowska, niewątpliwie nadal jeszcze źle płacząca na scenie, lecz pełna młodości i



Waldemar Januszkiewicz w roli Zdzisława w sztuce M. Bałuckiego „Radcy pana radcy” fot. C.O.P.A.

dziewięcącego uroku. Odtwarzając postać zamożnego kołtuna, świeżo upieczonego radcę krakowskiego Dżiszewskiego, Zenon Laurentowski popuścił aż poza właściwą granicę wodze żylce farsowej Odwrotnie, Waldemar Januszkiewicz dał nienaganną w sylwecie, choć zbyt jednolicie czarną postać karyerowicza Zdzisława, a Zdzisław Maklakiewicz przy interesujących warunkach zewnętrznych wykazał jeszcze mało wyrobienia scenicznego w roli amanta Karola. Dekoracje M. Stańczaka.

Ostatnie przedstawienie Teatru Ludowego, zmontowane jak się wydaje bardzo szybko, wydawało się trochę spektaklem na odczepnego. Zespół stał na lepsze osiągnięcia i nie wątpimy, że one przyjdą.

Kilka słów o:

muzyce

OPERA POZNAŃSKA W MOSKWIE

Zespół Opery Poznańskiej, który w połowie grudnia ub. roku udał się na występy do Związku Radzieckiego — świąci tam, jak dochodzą słuchy, prawdziwe tryumfy. Publiczność i krytyka moskiewska bardzo życzliwie przyjęły „Halke” i „Borysa Godunowa”. Na licznych spotkaniach naszych artystów z przedstawicielami życia kulturalnego Związku Radzieckiego panuje wyjątkowo serdeczna atmosfera przyjaźni i braterstwa.

KONCERTY LAUREATÓW II MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU SKRZYPKOWEGO IM. H. WIENIAWSKIEGO

Po zakończeniu II Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego w Poznaniu, laureaci rozjechali się po całej Polsce, dając w różnych miastach liczne koncerty. M. in. odwiedzili, oczywiście, i Warszawę. Nie wiemy, jaka temperatura uczuć panowała na salach koncertowych innych miast, sądzimy jednak, że w stolicy laureaci, przyzwyczajeni przez poznańskich do gorących wybuchów entuzjazmu nie czuli się zawiedzeni.

Thumy wypełniające widow nie wszystkich teatrów, w których na zmianę odbywały się występy polskich i zagranicznych uczestników Konkursu, od razu podchwytły atmosferę, jaką oddychaliśmy przez 10 dni w Poznaniu — atmosferę serdecznej przyjaźni i szczerego zachwytu wysokim poziomem artystycznym młodych muzyków. Niezliczone bity, do jakich zmuszano Olistraha, Wilkomirską, Tariusz Słkowski, Hidy, Jaszwili, Parchomienko i resztę laureatów — były tego najlepszym dowodem.

Z prawdziwym też zalem żegnaliśmy naszych miłych gości i przyjaciół. Pocięliśmy się tylko nadzieją, że nie jeden z nich nieraz jeszcze zawita do naszego kraju.

PEŁNA PARTYTURA „HALKI”

Nakładem Polskiego Towarzystwa Muzycznego ukazała się ostatnia część partytury „Halki” St. Moniuszki w opracowaniu K. Sikorskiego. Wydanie pełnej partytury arcydzieła Moniuszki, której brak dawał się dotychczas dotkliwie odczuwać, stanowi wydarzenie w naszym życiu muzycznym, przyczyni też się niewątpliwie do spopularyzowania pięknej muzyki „Halki”.

PIOSENKI JULIETTE GRECO

Lud paryski uwielbia piosenki. Ich historia jest równo cześnie historią Francji, bo wszystkim co się wydarzyło wielkiego w tym kraju wiernie towarzyszyła piosenka. Zawsze niefrasobliwa, często szydercza, nieraz rozświeflona najczystsza poezją snuje się przez stulecia niby wiecznie żywy, jedyny w swoim rodzaju, komentarz.

Tę swą żywotność i siłę czerpie piosenka z tematyki utkanej z uśmiechów i łez ulicy paryskiej. Rzecz uderzająca, że właśnie teraz obserwujemy szczególny rozkwit tej uroczej sztuki, jej coraz mocniej antymieszczański charakter, coraz głębsze związanie z sprawami społecznymi.

Utwory Edith Piaf czy Yves Montant'a znane są wszędzie; w Warszawie interpretu-

je je z takim wdziękiem pani Lidia Sereni na deskach Teatru Satyryków. A co ciekawsze, że ukazują się wciąż nowe, wciąż świetniejsze gwiazdy w dziedzinie tego kunsztu. Takim zjawiskiem stał się niedawno talent głośnego piosenkarza Mouloudji a ostatnio zabłysła Juliette



Juliette Greco

Greco. Ta czarująca pieśniarka, znana i u nas z filmu „Bez adresu” związana była do niedawna z ruchem egzystencjalistów, śpiewając w modnych lokalach Saint Germain des Prés poematy o tragizmie życia. Otóż Juliette zerwała gruntownie z pesymizmem i przedstawiła nowy repertuar w jednym z postępów teatrów. Swym niskim, wibrującym głosem śpiewając piosenki, do których teksty pisze Aragon, głosi w nich urok ulicy paryskiej i urok jej ludu. Juliette Greco zmienia się w najświetniejszą współczesną diseuse.

—filmie

NOWE POLSKIE FILMY W ROKU 1953



W tym roku ujrzymy cztery polskie filmy fabularne. Już niedługo wejdzie na ekrany wielka epopeja o generale Karolu Świerczewskim, dwuseryjny film pt. „Zołnierz Zwycięstwa” reżyserii Wandy Jakubowskiej.

Studenci Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej pod kie-

rownictwem reżysera A. Bohdziewicza kończą film pt. „Młodzi towarzysze”, na którego treść składają się trzy no-we, wciąż świetniejsze gwiazdy w dziedzinie tego kunsztu. Takim zjawiskiem stał się niedawno talent głośnego piosenkarza Mouloudji a ostatnio zabłysła Juliette

W drugiej połowie roku ujrzymy aż dwie nowe komedie filmowe. „Jeden dzień w Warszawie” — to tytuł komedii satyrycznej opartej na programach popularnych warszawskich teatrów „Syreny” i „Satyryków”. Scenariusz opracowany wspólnie przez S. Grodzienką, Z. Gozdawę i W. Stępnia. Film reżyseruje J. Rybkowski i J. Fethke

„Przygoda na Mariensztacie” to pierwszy kolorowy film polski. Jest to komedia muzyczna na pióra L. Starskiego, reżyserowana przez L. Buczkowskiego. Film ten opowiada o życiu i pracy warszawskich murarzy. rolę główną gra L. Korsakówna z zespołu „Mazowsze”.

W początku tego roku rozpoczyna się również realizacja dwóch następnych filmów fabularnych. Reżyser A. Ford wraz z K. Koźniewskim opracowują przeróbkę filmową znanej powieści Koźniewskiego „Piątka z ulicy Barskiej”. Rozpoczyna się również prace nad filmem według scenariusza J. Rojewskiego pt. „Bojowe zadanie”, reżyserem będzie St. Urbanowicz.

Oprócz filmów fabularnych ujrzymy na ekranach w najbliższym czasie siedem filmów dokumentalnych o aktualnych



Zdjęcie z filmu rysunkowego „Gęsi baby Jagi”

zdarzeniach i problemach. Będzie tam m. in. reportaż z Konkursu Wieniawskiego w Poznaniu i film o Kongresie Narodów w Obronie Pokoju. Wytwórnia filmów oświato-

wych przygotowała na początek roku 11 ciekawych filmów oświatowych i naukowych z różnych dziedzin. Dzieci w tym roku obejrzą kilkanaście filmów rysunkowych, w tym cztery barwne i jeden kukielkowy. Słuszną też wydaje się decyzja dubbingowania przede wszystkim filmów dla dzieci. Studio dubbingowe opracowuje obecnie wersje polskie kilku filmów rysunkowych i kukielkowych produkcji radzieckiej, czeskiej i chińskiej. Nareszcie filmy rysunkowe będą również przyjemnością nie tylko dla dorosłych ale także i dla dzieci, które jedno cześnie bardzo proszą studio dubbingowe o dobre teksty literackie do opracowanych pięknych bajek filmowych.

ZYCIORYS CHAPLINA

Ceniony krytyk filmowy Georges Sadoul przygotował dla wydawnictwa Editeurs Francais Reunis — książkę o życiu Charlie Chaplina. Nie trudno sobie wyobrazić z jaką niecierpliwością czeka świat na życie rys tego chyba największego i najświetniejszego współcześnie artysty ekranu.

teatrze

NOWE SZTUKI

Teatr „Ateneum” przygotowuje dwie sztuki: „Południk 49” Herba Tanka, po stepowego pisarza amerykańskiego, w reżyserii Janusza Warmińskiego i sztukę Gorkiego „Ostatni”; Ludowy Teatr Muzyczny wystąpi z n'eznaną jeszcze w Polsce komedią Aleksandra Ostrowskiego „I koń się potknie” w reżyserii Zygmunta Chmielewskiego. Teatr Powszechny w dalszym ciągu specjalizuje się w przedstawieniach Fredrowskich po „Pan Geldhab” i „Godzien liłość” ujrzymy dwie inne komedie Fredry „Cudzoziemczyna” oraz „Zrzedność i przekora” w reżyserii i inscenizacji Karola Borowskiego.

Teatr Narodowy po wystawieniu od dawna przygotowanej „Zemsty” Fredry w reżyserii Bogdana Korzeniewskie-

go, wystąpi z premierą klasyczna niemieckiego Gerharda Hauptmanna „Futro Pana Krügera”. Pod tym samym tytułem oglądaliśmy niedawno film; była to niemiecka adaptacja filmowa tej doskonałej sztuki.

Teatr Nowy wystąpi niedługo z premierą „Cyrylika Sewilskiego” Beaumarchais. Reżyserować będzie Sawan w scenografii Radwańskiego i Olgi Imbierowicz.

W Teatrze Polskim rozpoczęły się próby najnowszej sztuki Morstina „Polacy nie gęsi”, której centralną postacią jest Mikołaj Rej. W roli tej wystąpi dyrektor Teatru Polskiego, świetny reżyser i aktor Bronisław Dąbrowski. Sztukę reżyseruje Janusz Warnecki. Wystąpią też dwie znakomite aktorki Janina Romanówna i Mieczysława Cwiklińska.

„BERLINER ENSEMBLE”

Jak głęboko potrafi oddziaływać na wizerunek teatru naprawdę wielki, udowodniły występni niemieckiego zespołu dramatycznego „Berliner Ensemble”, który w grudniu ub. r. odwiedził Polskę prezentując publiczności trzy najlepsze utwory ze swego repertuaru.

Zobaczyliśmy więc „Matkę” wg. Gorkiego, „Mutter Courage” Bertolda Kleista i „Rozbity dzban” Kleista.

Teatr ten założony i prowadzony przez znakomitego współczesnego poetę Bertolda Brechta jest próbą stworzenia zupełnie nowego typu widowiska scenicznego. Łączy się w nim bardzo ciekawie elementy realizmu ludowego ze sposobami wynalezionymi przez teatr ekspresjonistyczny. Brecht komponuje swe widowiska w taki sposób, aby wydobyc z nich maksimum boactwa scenicznego używając środków prostych i przejmujących, obok faktury realistycznej stosując pieśń, taniec, melo-deklamację Jego koncepcja zbliża te utwory do widowisk jakie rozwinięły się niegdyś w epoce elżbietańskiej.

Arcydziełem tego nowego stylu jest niewątpliwie „Matka Courage”. Ta długa, potraktowana z rozmachem epickim opowieść o markietance, która po kolej traci na wojnie wszystkie swoje dzieci jest, chyba najbardziej przejmującym w potępianiem wojny, jaka stworzyła literatura współczesna. Krea-cja Heleny Weigel występu-

jacej w roli tytułowej stanowi przeżycie najwyższej miary dla każdego, kto miał szczęście ją oglądać. Trzeba pochylić głowę przed talentem i sztuką tej kobiety, najznakomitszej chyba z żyjących współcześnie aktorek



Scena ze sztuki B. Brechta „Mutter Courage” w wykonaniu przebywającego w grudniu ub. r. na gościnnych występach w Polsce zespołu teatru „Berliner Ensemble”

Dlatego sądzimy, że nie będzie to sprzeczne z zdaniem większości, gdy powiemy że bardzo chcielibyśmy wszyscy częściej i dłużej gościć w Polsce teatr Brechta, aby nie tylko podziwiać, ale aby się także i uczyć.

Plastyce

WYSTAWA PLASTYKI DZIECIĘCEJ



W Moskwie otwarto wystawę plastyki dziecięcej. Wystawa zawiera około 400 eksponatów. Powszechnie zainteresowanie budzi imponująca mapa wielkich budowl komunikacji, wykonana przez członków kółka artystycznego Pałacu Pionierów jednej z dzielnic Moskwy.

WIELKA WYSTAWA SZTUKI RELIGIJNEJ W PARYŻU

W Paryżu w Galerie Charpentier otwarto wspaniałą wystawę sztuki religijnej pt. „Sto obrazów religijnych, od XIV wieku do dnia dzisiejszego”. Słynne dzieło Rogera Van der Weydena „Sąd Ostateczny” jest najbardziej imponującym obrazem wystawy. Obraz ten powstał w roku 1443 na zamówienie kanclerza Burgundii — Mikołaja Rollina, ostatni raz dzieło to wystawione było w Paryżu w roku Wystawy Światowej (1878). Obok Weydena umieszczone zostały dzieła średniowiecznej sztuki religijnej z XII i XIII wieku. Jedną z sal poświęconą jest wyłącznie obrazom przedstawiającym Madonny z Dzieciątkiem. Są tam m. in. obraz florenckich mistrzów Paolo Ucello, Giovanni Bellini, Saseta ze Sieny. Inna ogromna sala wystaw poświęconą jest sztuce religijnej szesnastego i siedemnastego wieku. Znajdują się tam imponujące dzieła wielkich mistrzów Odrodzenia Tintoretta, Greco, Caravaggio, Georges de la Tovi'a Rubensa, Zurbarana.

Wśród obrazów malarstwa współczesnego uwagę zwraca piękne płótno pt. „Zwiastowanie” de Valcha.

BUNT MALARZY

Młodzi malarze francuscy nie mają ochoty kosztować w ramach narzuconych im przez tradycję mieszczańskie. Ich dewizą jest twórcza zmiana i rozwój. Dlatego walczą z wszelkimi objawami wstecznicstwa, chociaż by się ono kryło w czymś pozornie tak blahym, jak przestarzały system urządzania wystaw.

Przed miesiącem grupa postępowych artystów zaatakowała kierownictwo wystawy Niezależnych, która od 66 lat co roku gromadzi w swoich salach najeńszczejsze płótna Malarze, wśród których są artyści tej miary co: Chanaan Midw i Roger Worms, żądają, aby ich obrazy wystawiano nie w porządku alfabetycznym według nazwisk twórców, jak to się do tad działo, ale grupami — w zależności od kierunku, który reprezentują w swych dziełach.

Aktualia KSIĘGARNIANE

Posadzam, że wiele prezentów pod niedawną choinką odznaczało się dziwnie podobnym kształtem. „Wnawajców” nieludnie wskazać: „Państwowy Instytut Wydawniczy”, „Książka i Wiedza”, „Czytelnik”. Bo też nie ma chyba sklepów, które na wszystkie święta pokazują tyle nowości, co księgarnie.

Kłopot selekcji — gdyż niepodobna mówić tu ani o czwartej części wartościowych spośród zaawansowanych książek — sprawla, że zaryzykuję kolejność dyktowaną przez samych kupujących. Nie ulega więc wątpliwości, iż najszybciej rozchwytywano „Satyrę” Krasieckiego. Wiedział, co robi, „Dom Książki” — przetrzymując je od ilpeca (data ukończenia druku) do sprzedaży w sezonie największego zapotrzebowania na ładny upominek: setki egzemplarzy wystarczyło zaledwie na parę godzin! Nie dziwnego, popularne to albumowe wydanie ilustrował Szancer!

Ale publiczność zna się i na autorach. Przykładem — powódź, z którym spotkał się ostatni tomik „Wiersze i rymy”. Zresztą, podkreślić trzeba, że i ta książeczka otrzymała przemawiającą do przekonania oprawę graficzną Jana Lenicy — przysłał to dziś jedynego bodaj Mistrza Konstantego Hefonsa — niebanalny format. Szkoda, że tak

niewiele utworów — tylko ostatni okres twórczości — zebrał poeta tym razem; i czy słuszne było wyrwanie zaledwie 1 r a g m e n t u z poematu „Wit Stwos?” — Podobno jednak ma Galszyński wydać niedługo po-kazniejszy zbiór wierszy, najwyższa już pora: od czasów edycji „Oficyny Księgarskiej” upłynię wkrótce siedem lat.

Czy tylko poezja? — Nie, równo uznanie kłopotów zdobywa rozrastająca się szybko „filozoficzna” seria PIW-u. Po Kartezjuszu i Wolterze ukazały się właśnie: „Historia calamitatum” — „Historia molch niedoli” słynnego Piotra Abelarda. Jedyna docho-wana autobiografia średniowiecznego uczonego i poety, będąca jednocześnie znakomitym pamphletem politycznym (przekład Leona Jeachimowicza, opracowanie Andrzej Nowickiego); oraz — w dwu tomach — „Zasady praw” („De la législation ou principes des loix”) Mably'ego. — Zanim czytelnicy nasi zapoznają się z gruntownym wstępem tłumacza „Zasad”, Juliana Hochfelda, przypomnieć warto, że Gabriel Bonnot de Mably (1709—1785) — to jeden z wybitnych postępowych reprezentantów francuskiego Oświecenia, koncentrujący swe zainteresowania na zagadnieniach histo-

ryczno-prawnych. Autor wielu znanych w swoim czasie dzieł (niektóre z nich były u nas przekładane bardzo niedługo po pierwszych wydaniach) — napisał Mably między innymi, na prośbę powsta Konfederacji Barskiej, Michała Wielhorskiego, rozprawę pt. „Du gouvernement et des loix de la Pologne” („O rządzie i o prawach Polaków”), drukowaną w Londynie w roku 1781 — Obecne, pierwsze polskie nieskrócone wydanie „Zasad” wydobywa Mably'ego z zapomnienia po stu dwudziestu pięciu latach od czasu ostatniego u nas tłumaczenia tego pisarza.

Bibliografowie odnotowali już pięć, zdaje się, powojennych wydań „Don Kichota”, wydał mocno skróconych i — z wyjątkiem przekładu Ciesielskiej-Borkowskiej — tłumaczonych nielogo. Toteż z największą radością powitano zapowiedź kompletnego wydania — pierwszy tom Cervantesowskiego arcydzieła w poddanym gruntownej rewizji przekładzie Edwarda Boyé'go. Przyjmując założenie, iż język przekładu tak się winien mled do języka współczesnego, jak język oryginału do języka używanego dzisiaj w ojczyźnie autora — redaktorki, dr Zofia Szmydowa i Zofia Szymanowa, przetrzebiły archaizmy i

neologizmy niewłaściwie nadużywane przez Boyé'go. Inną zaletą obecnego przekładu jest dążenie, by możliwie dosłownie oddać bogactwo sentencji i przyszłów hiszpańskich, zamlastr — jak to się zwykle dotychczas praktykowało — zastępować je idiomami polskimi. — Następne tomy „Don Kichota” mają się ukazywać w miarę wykańczania druku.

Inna — czy nie lepsza? — metoda zastosowała ta sama „Książka i Wiedza” wysyłając na rynek księgarski o d r a z u całość — sześć tomów Mollera (choć pierwszy wydrukowano blisko pół roku temu) w przekładzie Boyz-Zeleńskiego. Staranne to pod każdym względem wydanie ma tylko jedną wadę: kosztuje 180 złotych.

Na czym skończyć ten księgarski „plebszczyzn”? — Sądzę, że wielu zwolenników znajdzie wadomość o reedycji „Polskiej noweli fantastycznej”. Antologię Tuwima wydał PIW w dwóch tomach. Żalować można, iż bez ilustracji.

I Jeszcze — wyjaśnienie. To nie, że informacje okazały się chwilowo spóźnione, że książek, o których wyżej, na razie często po księgarniach nie ma. Księgarze zapewniamy, iż nie całe nakłady rozestano do sklepów przed światem, następne partie rychło nadejdą.